

ActionMag

Numer 153

Bandyci

Pierniczki i ciasteczka

Ostatni oddech

Czołem!
Witajcie! Wiosna zawitała w tym miesiącu również w AM! Tym razem to opowiadania są siłą tego numeru. Mister stworzył kolejną, udaną w dodatku kontynuację „Carthana" - „Bandytów". Sporą dawką czarnego humoru tryskają „Pierniczki i ciasteczka". Nie można również zapomnieć o „Ostatnim oddechu" oraz „Kilroy City". Każde opowiadanie jest inne, każde czyta się przyjemnie. Polecam!

DoxtraduS

Siema!
Tym razem ja tylko na chwilę. I z wytłumaczeniem. W AM zabrakło w tym miesiącu zwyczajowych działów. Nie czas to i miejsce na uzewnętrznianie mojej sytuacji, ale uwierzcie – po prostu nie mogłem z bardzo ważnych powodów osobistych złożyć reszty tekstów. Trafią na łamy za miesiąc.

Gregorius

Również Twój tekst może trafić do ActionMaga!

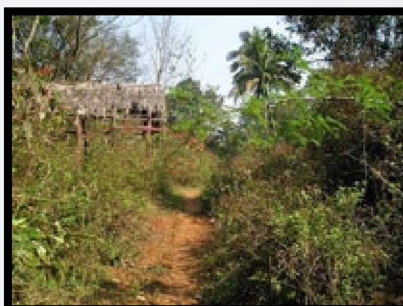
Jeśli chcesz **spróbować sił w pisaniu - AM jest świetnym miejscem!** Wyślij swój artykuł na adres **actionmag.online@gmail.com**. Możesz pisać o czym tylko chcesz: publicystyka, film, książka, muzyka, opowiadania - zakres tematyczny jest w zasadzie nieograniczony. Jeśli twój artykuł będzie wystarczająco dobry, trafi tutaj. Jeśli nie - nic straconego! Tekst trafi na stronę **www.actionmag.pl.** Tam możesz liczyć na pomoc, co poprawić, na co zwrócić uwagę w następnym tekście.

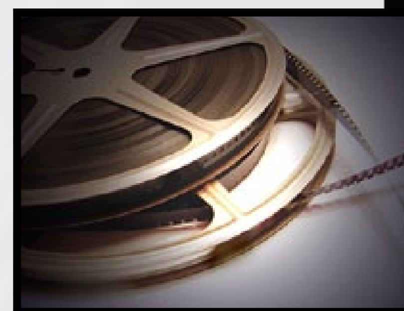
Kontakt:
actionmag.online@gmail.com
www.actionmag.pl

SPIS TREŚCI









Tekst miesiąca

W tym miesiącu szczególnie polecam opowiadanie pod tytułem „Bandyci". Jego autor dostaje nagrodę niespodziankę. Odezwij się na priva. :)





Emily Blunt

Brytyjska aktorka, najbardziej znana z roli w filmie „Diabeł ubiera się u Prady”. Fani horrorów skojarzą ją również z filmu „Wolfman”, u nas rozpowszechnianego na DVD pod tytułem „Wilkołak”, gdzie zagrała u boku Benicia Del Toro, Anthony’ego Hopkinsa i Hugona Weavinga. Ogółem na koncie ma ponad 20 ról w filmach i serialach różnych gatunków.

Dziewczyna urodziła się w 1983 roku, talent aktorski odziedziczyła po matce.





mister155

Bandyci



Dzień był ciepły, lecz nie upalny. Niebo pokryte było chmurami, za którymi raz po raz chowało się słońce. Zwyczajny dzień w Krakowie. Ludzie chodzili w tę i we w tę. Często się uśmiechali, co już podnosiło na duchu Elizę. Lubiła takie osoby, które potrafią się tak cieszyć z byle czego. Wiele było też par w każdym wieku, trzymających się za ręce. Niektórzy nawet chyba ją kojarzyli, gdyż uśmiechali się do niej. A ona nie potrafiła przestać sama się uśmiechać. To był taki podniosły na duchu stan. Mimo, że godzina wciąż była straszliwa (trochę przed siódmą rano, niektórych zdecydowanie potrafi to demotywować), Eliza była pełna energii. Słuchawki na uszach grały jej ulubioną muzykę, ale nie za głośno, lekki plecak na ramieniu był praktycznie niewyczuwalny. Luźny, czerwcowy poranek. Jeszcze trzy tygodnie szkoły i znowu dwa miesiące spędzone z Roksem, Iridią, Lasanwarem, Carthanem i całą resztą tej niesamowicie barwnej zgrai. Aż nie mogła się doczekać.
Byli popularni, nie da się zaprzeczyć. Po czymś takim - musieli być. Mimo to, Rox był tym, który miał najwięcej zasług. Trudno się temu dziwić, w końcu to on ich wszystkich uratował przed demoniczną armią. A teraz minęło pół roku i nagle wszystko przygasło. Ludzie nie rzucali się do niego, oczekując niewiadomo czego, znudził im się. Jedyny prawdziwy heros tego świata nie zrobił do tej pory nic więcej, zero spektakularnych akcji. Jak tu podziwiać kogoś takiego? Jednorazowego? Wrócono więc do zapatrywania się w wydziwianie i plotkowanie świata show-biznesu.
Roksowi wbrew pozorom bardzo to odpowiadało. Nie lubił być postrzegany jako celebryta, a takim chcieli go zrobić. Zapraszali do programów, audycji radiowych, wywiadów… Wszystkim odmówił, co do jednego. Właściwie, to jego przyjaciele trochę się temu dziwili. Mógł wtedy natrzepać kasy jak lodu - nie zrobił tego. Oznaczałoby to całkowitą zmianę swego spokojnego życia. Gdzieś miał pieniądze zdobyte za taką cenę. Zresztą, jeśli naprawdę by ich potrzebował, poprosiłby Amvidę, Helmerela, nawet Melanis bądź Urga. Żadne z nich nie odmówiłoby mu wynagrodzenia w złocie.
Lasanwar większość czasu spędzał w Delluin, jednakże był w stanie przenosić się między wymiarami jak Wybrany, więc nierzadko Rox znajdował go w swoim ogródku. Gdy jego rodzina po raz pierwszy zobaczyła smoka - nowego jej członka, jakby na to nie patrzeć - początkowo spanikowała. Nie przekonywały ich nawet słowa samego Lasanwara, który obiecał, że nic im nie zrobi. Aż w końcu kilkuletnia siostrzenica Roksa po prostu wszystkich zignorowała, pobiegła do złotego gada i, jak gdyby nigdy nic, objęła jego niemały przecież pysk. Nawet nie drgnął. Teraz, jako że rodzina Roksa nie miała pupila, smok stał się ich maskotką. Gdy tylko się pojawiał, ktoś zawsze znajdował jakiś kawał mięsa (aczkolwiek Las zawsze mówił, że nie muszą go karmić, bo poluje) i zawsze dotrzymywał mu towarzystwa. Zdążyli go wypytać chyba o wszystko. Rox stwierdził żartobliwie, że jego rodzina chyba zna smoka lepiej, niż on sam.
Jemu zadawali nie mniej pytań o to, jak jest na drugiej stronie. Uwierzyli mu właściwie od razu, przecież w końcu widzieli, co się działo i co potrafił. Wydawało się nawet, że to zaakceptowali.
Była też druga strona medalu. W chwili, gdy Rox i Eliza zniknęli wraz z Carthanem i Iridią przed oczami wielu osób (sprawa oczywiście została oznaczona jako ściśle tajne), stworzona została niewielka grupa uzdolnionych ludzi, którzy mieli to wyjaśnić. Gdy wrócił po niespełna sześciu miesiącach, rzucili się na niego. Rozpytywali o wszystko, a on opowiadał mało co, wymijająco. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby w ten sposób byli w stanie kiedykolwiek choćby podjąć próbę opanowania Delluin, a był pewien, że prędzej czy później znajdą jakiś sposób, żeby stworzyć portal. W końcu ustąpili, ale jeden z nich - Dariusz Kozak - był wyjątkowo uparty i usiłował wyciągnąć coś z niego wszelkimi sposobami, mniej lub bardziej dozwolonymi przez prawo Rzeczpospolitej. Przekonywał więc, prosił, tłumaczył, błagał, usiłował nawet przekupić. Nigdy nie zniżył się jednak do jakiejkolwiek formy szantażu, groźby bądź fizycznego ataku na niego lub kogokolwiek mu znanego. Rox uznał go więc za natrętnego, ale jednak nie takiego znowu złego gościa.
Eliza myślała o wszystkim i o niczym, idąc spokojnie. Doszła do skrzyżowania. Wpatrując się w zielonego, spacerującego ludzika, weszła na jezdnię.
Rozległy się spanikowane okrzyki, które doszły do niej nawet przez słuchawki. Światło nagle się zmieniło z zielonego na czerwone. Nie miało szans zrobić tego tak gwałtownie, a ona z pewnością się nie pomyliła. Gdy jednak po swojej prawej dostrzegła światła białej furgonetki, która zmierzała w jej stronę z wciskanym z całej siły klaksonem, nawet nie zdołała się zastanowić, czy ktoś zorganizował na nią zamach.
Zwyczajny dzień w Krakowie.

Rox wbiegł na korytarz. Był tak niesamowicie blady, że miało się wrażenie, iż jest przezroczysty. Wyglądał jak duch. Dostrzegł rodziców Elizy, stojących przed salą operacyjną. Jej matka ukrywała twarz w dłoniach, a jej mąż obejmował ją i usiłował jakoś pocieszyć, ale widać było, że sam jest w nie lepszym stanie. Chłopak pobiegł sprintem w ich stronę. Za nim pojawił się Dariusz Kozak. Trzydziestojednoletni mężczyzna zaproponował mu podwózkę, chociaż ten urwał się ze szkoły, gdy tylko się o dowiedział o wypadku. Co prawda, Rox początkowo miał pewne obiekcje co do jego propozycji, ale ten obiecał mu, że nie będzie go męczył głupimi pytaniami w takiej chwili i faktycznie, dotrzymał słowa.
- Co z nią? - zapytał Rox. Ojciec Elizy uniósł wzrok, patrząc na niego zapuchniętymi oczami. Chłopak miał rację, że on i jego rodzina zostaną posądzeni o zniknięcie Elizy, ale gdy wrócili i wszystko się wyjaśniło, ich stosunek do niego zmienił się diametralnie.
- Nie wiemy - odpowiedział mężczyzna. - Siedzimy tu od rana.
- Rany boskie… - mruknął Kozak. Rox usiadł na jakimś krzesełku, a ten obok niego. - Co się stało?

- Kierowca jakiejś furgonetki w nią wjechał.
Rox poczuł, jak samoistnie zacisnął dłonie w pięści.
- Pijany?
- Nie. To była jej wina, tak też mówią świadkowie. Po prostu weszła na czerwonym świetle na jezdnię. Gość usiłował jej pomóc, ale nie bardzo miał, jak. On zadzwonił po karetkę i przy niej czatował. Rozmawialiśmy z nim, jest kompletnie załamany.
Czyli to Eliza? Przecież ona nigdy nie zaryzykowałaby czegoś tak głupiego, jak przechodzenie na czerwonym świetle przez jezdnię. Nie zdarzyło się, żeby nie zatrzymała Roksa, gdy on chciał to zrobić, chociaż nic nie jechało. Nie, Eliza za nic by tego nie zrobiła.
Czyli ktoś chciał ją zabić. Po prostu w jakiś sposób sprawił, że widziała zielone światło i weszła na jezdnię.
Szlag, szlag, szlag…
Znajdę drania i powieszę go na jego własnych jelitach!
Rox miał ochotę warczeć.
Drzwi do sali operacyjnej otworzyły się. Cała czwórka stanęła błyskawicznie jak na baczność.
- To prawdziwy cud, że jeszcze żyje - powiedział lekarz. - Jej stan jest bardzo ciężki, pogruchotane nogi, pęknięta miednica, żebra…
- Ale żyje! - powiedziała matka dziewczyny z nadzieją w głosie. Lekarz westchnął.
- Żyje, ale nie będę państwa okłamywał, jest bardzo małe prawdopodobieństwo, że z tego wyjdzie. A nawet jeśli… Niestety, został przerwany rdzeń kręgowy. Do końca życia będzie sparaliżowana od pasa w dół.
Zaległa całkowita cisza. W końcu matka Elizy na powrót usiadła ciężko na stołku.
- Wyjdzie z tego - powiedział Rox poważnym tonem. - Jestem tego pewien.
- Cóż, czas pokaże. Na razie będziemy ją utrzymywali w stanie śpiączki farmakologicznej. Proszę mi uwierzyć, to najlepsze wyjście. Cierpienie by ją wykończyło.
- Przechodziłem to samo, doktorze. - Rox westchnął ciężko. - Dziękujemy. Proszę o nią dbać.
- Wybierasz się gdzieś? - zapytał go Kozak. Rox kierował się w stronę wyjścia. Popatrzył tylko na niego przez ramię, a potem rozpłynął się w powietrzu.
Carthan momentalnie dostrzegł przyjaciela. Przeraził go jego widok. Rox wyglądał tragicznie, a furia w jego oczach zdecydowanie nie była najprzyjemniejszym, co można było spostrzec.
- Rox, co się stało?! - wykrzyknął.
Rox się rozglądnął. Taurdil. Nie widać było ani elfów, ani smoków. Popatrzył na Carthana i wyjaśnił mu wszystko. Wojownik stanął jak wryty, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu spuścił bezradnie wzrok i ramiona.
- Co masz zamiar teraz zrobić? - zapytał cicho.
- Znajdę tego, który jej to zrobił - odparł Rox z wymuszonym spokojem w głosie. - A przedtem znajdę drużynę, tak niewiarygodnie silną, że będą bać się nas wszyscy, rozpętamy piekło, staniemy się Nemezis, Omegą, pieprzonym końcem. Będą żałować tego, że stali się tym, kim się stali. Ale niezbyt długo. Nie pozwolę im. - Rox przymknął oczy. Potem zerknął na Carthana. - Składam ci propozycję. Wchodzisz?
- Ja… Dziękuję, Rox, ale nie mogę. Przyjmuję rozkazy od trzech dowódców jednocześnie, po prostu nie jestem w stanie dodać czwartego. Ale pamiętaj, że pomogę ci, jeśli tylko będziesz tego potrzebował.
Rox skinął głową.
- Teraz wybacz mi, przyjacielu - rzekł cicho. - Muszę ochłonąć.

Nie można było powiedzieć, że był zadowolony… Ale za to był szczęśliwy.
Z lekkim grymasem na twarzy Dragon wszedł do kolejnego sklepu. Może tym razem jego dziewczyna nie będzie oglądała godzinami jakichś ubrań, tylko się pospieszy i wyjdą… W końcu wiele sklepów do obejścia im już nie zostało. Trudno się dziwić, siedzą tutaj od rana. Jeszcze trochę i chłopak będzie miał dość oglądania wraz z nią wszelakich ubrań, twierdzenia: `Tak, ładnie w nich wyglądasz, nie, nie pogrubiają cię, tak, jesteś piękna`. I tak w końcu je odkładała na półkę i szukała dalej. Może Dragon nie uważałby, że to tak niesamowicie bezcelowe, jeśli przynajmniej coś by kupiła. Westchnął dyskretnie, prawie niedostrzegalnie. Miłość wymaga poświęceń, nie?
- Pozwolisz, że pooglądam koszulki? - zapytał z lekkim uśmiechem swojej lepszej połówki. Dziewczyna zachichotała.
- Jasne. Tylko się nie oddalaj.
- Tu za rogiem jest fajny sklepik, jak skończysz to mnie stamtąd wyciągnij. - Dragon wyszczerzył się. Obserwował chwilę, jak jego kochana Julia odchodzi i obserwuje przez chwilę jakąś suknię. I tak jej nie kupi, pomyślał chłopak, kierując się do sklepu, o którym przed chwilą opowiadał.
Po półgodzinie zaczął się niepokoić. Rozumiał, że dziewczyna mogła tam chwilę siedzieć, ale wtedy kazałaby mu ocenić jej kreacje. Z pewnością by po niego przyszła.
Pożegnał więc przyjaznego sprzedawcę koszulek, który nawet chciał mu dać zniżkę na jedną z motywem jego ulubione-

go zespołu, a potem poszedł poszukać Julii.
Wszedł spokojnie do sklepu, w którym ją zostawił. Nie było jej tam. Przecież mówił jej, żeby po niego przyszła. Z pewnością by go nie zostawiła. Cóż, pewnie po prostu poszła trochę dalej i tyle. Przeszedł więc do kolejnego sklepu, potem kolejnego i kolejnego. Nigdzie jej nie było. Zaskoczony, zadzwonił do niej na komórkę.
Wybrany abonent jest niedostępny.
…że co? Ponowił próbę, lecz skutek się nie zmienił.
Wrócił się do sklepu, w którym się z nią żegnał. Podszedł do sprzedawcy.
- Przepraszam… - zagaił. - Nie widział pan może, w którym kierunku poszła dziewczyna, z którą tutaj przyszedłem? Rozmawialiśmy przed wejściem, potem oglądała pańskie ubrania…
- Nie przypominam sobie, by była tutaj jakaś dziewczyna - odpowiedział mężczyzna zdziwionym tonem. - Owszem, pana widziałem, postał pan chwilę i sobie poszedł, ale był pan sam.
- Przecież byłem tu wraz ze swoją dziewczyną! - wykrzyknął spanikowany Dragon. - Trochę niższa ode mnie, długie, kasztanowe włosy, brązowe oczy, zielona torebka.
- Nikogo takiego tutaj nie było.
Dragon zbladł. Mężczyzna wyglądał na całkiem szczerego. Nie wrabiał go. Coś jednak się tutaj działo. Chyba, że faktycznie odbija mu już szajba i łaził po sklepie sam, gadając ze swoją wymyśloną ukochaną. Może od lat siedzi w psychiatryku z kaftanem na sobie, a całe swoje życie sobie wymyślił? W końcu ludzki umysł jest do tego zdolny.
Jeśli tak, to i tak się o tym nie przekonasz, idioto, pomyślał. Julia zaginęła. Być może ktoś ją porwał, chce jej zrobić krzywdę, zrobił coś temu gościowi, że nic nie pamięta. Może uciekła i prosiła sprzedawcę, żeby powiedział coś takiego. Nie, nie zrobiłaby tego. Naprawdę się kochali, zachował się nawet jak paranoiczny kretyn i kilka razy ją śledził. Nie było nawet śladu, żeby mogło być inaczej. Nie, coś się tutaj dzieje i trzeba się błyskawicznie zorientować, co.
Dragon, lat osiemnaście, zielonooki, wysoki gość z czarnymi, krótkimi włosami żwawym krokiem wyszedł ze sklepu. Co powinien zrobić? Z pewnością zawiadomić rodziców dziewczyny. Jakoś wątpił, żeby policja w tej chwili mu pomogła. Ale na początek powinien się rozejrzeć po okolicy, może znajdzie chociaż ślad. I to migiem.

Rox szedł ulicami miasta, patrząc prosto przed siebie z groźnym wzrokiem i trzymając ręce w kieszeniach. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Za to na pobliskiej ławce dostrzegł spory plik kartek. Usiadł i wziął jedną. Widać było zdjęcie ładnej dziewczyny, a także nagłówek `ZAGINĘŁA`. Mimowolnie spróbował przypomnieć sobie, czy aby jej nie widział, ale i tak był pewien, że jego kiepska pamięć do twarzy tutaj nie pomoże.
- Widziałeś ją?! - Jakiś chłopak w jego wieku podszedł do niego z nadzieją w oczach.
- Niestety - odpowiedział Rox. Chłopak najwidoczniej rozwieszał ogłoszenie. Teraz znów się zasmucił. Usiadł obok niego na ławce, sam podniósł jedną z kartek i zaczął się w nią wpatrywać.
- Trzy dni temu po prostu wyparowała. Wszyscy, którzy ją widzieli nagle twierdzą, że jej tam nie było. - Zmiął kartkę i rzucił nią o chodnik. - Kuźwa, gdybym tylko jej dopilnował! Poszedłem sobie w swoją stronę, wróciłem, a jej nie ma. Szlag by to!
- Nie mogłeś tego wiedzieć. To jest w tym wszystkim najgłupsze - mruknął Rox. - Wszystko opiera się na tym, że nie jesteśmy wszystkowiedzący. Inaczej co złego mogłoby nas spotkać? A tak jesteśmy tylko głupimi, małymi mrówkami siedzącymi w gigantycznych trybach losu. Pytanie tylko, czy jesteś tym wrednym gatunkiem, który by te trybiki popsuł, gdyby mu nie pasowały?
Zdziwiony chłopak popatrzył na Roksa.
- Co masz na myśli? - zapytał. Rox popatrzył na niego.
- To było porwanie. Tego akurat jestem pewien. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin porwana osoba jest nie do namierzenia. Ten czas już minął. - Wstał. - Znajdę ją wraz z tobą.
Chłopak prychnął.
- A kimże to jesteś, żeby mówić coś takiego? - Wstał i popatrzył groźnie w oczy Roksa. - Mógłbym cię teraz walnąć w ryj za to, że zabierasz mi nadzieję, a potem ją dajesz.
- Jestem Rox. I jedyne, co ci daję, to suche fakty. - Wyciągnął rękę do oniemiałego chłopaka. Z pewnością znał ten pseudonim. - To jak będzie? Chcesz uratować swoją dziewczynę, czy nie? Jak mam ci mówić?
- Jestem Dragon - odpowiedział i uścisnął zdecydowanie jego dłoń.
- A teraz pokaż mi, gdzie ostatni raz ją widziałeś.
Dragon więc poszedł wraz ze swoim towarzyszem do centrum handlowego, gdzie ostatni raz widział Julię.
Rox wszedł do wskazanego przez chłopaka sklepu i rozejrzał się. Jest kamera. Obejmowała swoim polem widzenia cały sklep. Zapytał jeszcze Dragona, czy to ten sprzedawca, a chłopak potwierdził. Rox więc zabrał się do pracy na poważnie. Podszedł do mężczyzny stojącego przed kasą.
- Dzień dobry, czy pamięta pan tego chłopaka? Był tu kilka dni temu z dziewczyną - zagaił.
- Już tłumaczyłem, że nie było z nim żadnej dziewczyny!
On jednak był. Ingerencja magiczna. Kimkolwiek są, któryś jest Wybranym. Tylko oni na tym świecie potrafią używać magii.

- Czy moglibyśmy więc zerknąć na taśmy z tamtego dnia? Panu to nie zaszkodzi, a my damy wtedy spokój.
Zastanawiał się przez krótką chwilę. Potem zawołał kogoś z zaplecza i zaprosił ich do środka. Zadowolony, Rox skinął dłonią na Dragona. Chłopak przekazał sprzedawcy datę i godzinę, a on nastawił sprzęt. Po chwili ukazał się obraz. Mężczyzna wytrzeszczył oczy, Dragon odetchnął z ulgą. Jednak mu nie odbiło.
- Ale... Jej tu naprawdę nie było!
Rox uspokoił go dłonią. Coś się działo. Krótko po wyjściu chłopaka Julia osunęła się bezwładnie na podłogę. Pojawił się jakiś ubrany w czarne ciuchy jegomość, który machnął ręką w stronę sprzedawcy, wziął dziewczynę i wyszedł z nią na rękach.
- I co, nikt ich nie widział?! - obruszył się Dragon. - Gość spaceruje przez centrum handlowe z nieprzytomną dziewczyną na rękach!
- Aura - wyjaśnił Rox. - Nikt ich nie widział. Być może nawet ty patrzyłeś w ich stronę. Pana - zwrócił się do sprzedawcy - musiał zlikwidować w inny sposób. Widział ją pan i zapamiętał. Wykasował panu jej wspomnienie.
- To... Jest możliwe? - zapytał cicho mężczyzna. - To magia... I w ogóle...
- Ocaliłem świat przed demonami. Wiem, do czego zdolni są magowie i tak, to jest możliwe. - Rox klepnął Dragona w ramię. - Chodź, musimy dorwać się do nagrań z wejść do budynku.
To było dla Roksa zastanawiające. Wpierw Eliza. Ktoś rzucił na nią urok, przez co nieszczęsna miała wypadek. Teraz znowu ta dziewczyna. Elizę jeszcze można zrozumieć. Wybrana. Ukochana najsilniejszego człowieka obu światów. Złamali jego morale, mogli go wtedy zaatakować, a on prawdopodobnie nie zdołałby nawet ręką ruszyć. Ale nie, nie wygląda to tak, jakby mieli zamiar go zabić.
Dlaczego więc Julia i Dragon? Ze względu na kogo ją porwali? Dlaczego to zrobili? W końcu - kto? Jeśli to ten sam gość, co w przypadku Elizy, to trzeba być ostrożnym. Nawet Alhild miał trudności z przebiciem się do umysłu Wybranego, a i tak bez problemu dało się go wyczuć. Więc albo jest to zupełnie inna, nieznana mu magia, albo ten gość jest od ówczesnego króla silniejszy. Obie wersje są złe.
Chyba że to nie ta sama osoba. Ten tutaj może współpracować z porywaczami. Możliwości było wiele - handel żywym towarem, okup, harem, zwykły gwałt, może zemsta albo zazdrość - ale Rox z pewnością nie miał zamiaru mówić o tym zrozpaczonemu Dragonowi. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większe miał wrażenie, że jednak popełnił błąd. Minęły ponad trzy doby. Dziewczyna mogła być choćby i w Australii. A tymczasem obiecał jej chłopakowi, że ją znajdzie. To chyba nie było zbyt mądre posunięcie. `Pomogę ci szukać`, okej. `Jeśli istnieje szansa`, w porządku. Ale nie `Z pewnością`. Pospieszyłeś się, Rox. I co powiesz chłopakowi? `Sorki, nie wyszło, a ja tylko dawałem ci nadzieję. Bo nie mogłem patrzeć na twoją załamaną minę.` Bosko, po prostu bosko.
Zresztą, może być jeszcze gorzej. Jeśli ten gość był Wybranym, równie dobrze mógł zniknąć ze środka supermarketu. To by też jednocześnie tłumaczyło, czemu nikt ich nie widział. Nie musiał być to urok.
Ale nie, po oględzinach nagrań z monitoringu z zewnętrznych kamer widać było wyraźnie, jak odziany w czerń mężczyzna wrzuca nieprzytomną (oby nie martwą) dziewczynę do samochodu, po czym odjeżdża.
- Policja widziała te nagrania? - zapytał Rox. Przecież jej szukają, musieli widzieć, dowiedzieliby się, co to za numery i…
- Policji tutaj w ogóle nie było - odpowiedział strażnik. - Jeśli mówili, że jej szukają, to w tej chwili odwalają taką fuszerkę, że aż żal dupsko ściska.
- Genialnie. - Rox wyciągnął z kieszeni niewielki notes i długopis. Zawsze nosił to przy sobie, nieraz przydawały mu się krótkie notatki. Zapisał numer rejestracyjny. - Nie wiem, kto wziął tę sprawę, ale oficjalnie nazywam go kretynem. - Zerknął na Dragona. - Pewnie z góry założyli sobie, że palma ci odbiła.
- Julii jednak nie ma - odparł tamten.
- Nie mnie oceniać poziom jego inteligencji, ale gość chyba faktycznie chce, żebyśmy wzięli sprawę w swoje ręce. Niech się tylko potem nie zdziwi, jak zacznie znajdować trupy. - Rox zamilkł, zerknął na strażnika, który wpatrywał się w niego z uniesionymi brwiami. - Nic nie słyszałeś.
- Jasne. Powodzenia, panowie.
Rox z Dragonem wyszli spokojnie.
- I co teraz robimy? - zapytał Dragon. - Myślisz, że policja nam pomoże?
- O, tak. Sami jeszcze nie wiedzą, jak bardzo. - Rox wyciągnął komórkę. Wybrał numer. - Jeden policjant przyczynił się do zlikwidowania demonów, ja uratowałem mu życie, zakumplowaliśmy się. - Uśmiechnął się lekko pod nosem, gdy mężczyzna po drugiej stronie odebrał telefon. - Cześć, Sławek, mam do ciebie sprawę…

- No i super - mruknął ponuro Dragon. - Wiemy, gdzie mieszka ich kierowca. Jakiś plan?
Obaj siedzieli w pustym tramwaju. Nie mieli żadnej innej podwózki, a w końcu ta też nie była taka znowu tragiczna. Rox zastanawiał się, jaki ma być ich kolejny krok, a Dragon bawił się zapalniczką Zippo, na której miał wygrawerowanego smoka i jakiś symbol. Wpatrywał się w ogień, gasił go, potem znów zapalał i tak w kółko. Rox nie odpowiadał na jego pytanie, w końcu on prawie zawsze opierał się na czystej improwizacji. Milczeli długą chwilę.

- Palisz? - zapytał w pewnej chwili Rox.
- Nie, to prezent od niej - wyjaśnił chłopak. - Lubię smoki i interesuję się pirotechniką. To trafiony prezent. Boże, nie daruję sobie, jeśli nie będę mógł już nigdy zamienić z nią nawet słowa.
- Spokojnie. Damy radę...
- Masz mnie za kretyna, Rox? Wiem, po co porywa się takie dziewczyny. Trzy dni, chyba że pojawi się żądanie okupu. Nie pojawiło się. Czas upłynął. Jeśli ją znajdziemy, nawet żywą, to może być zmaltretowana psychicznie i fizycznie, bita i gwałcona, poniewierana przez tych drani. Może już na zawsze zamknie się w sobie, może będzie potrzebowała mojego niewiarygodnie dużego oparcia, a ja nie zdołam podołać. A ty, chociaż wiesz, że to kretynizm, obiecałeś, że ją znajdziesz. Chciałeś pocieszyć, pomóc nieznajomemu, ale załamanemu chłopakowi, a teraz uważasz, że to był gigantyczny błąd. Powiedz, że nie mam racji, Rox.
- Masz - odparł bez wahania chłopak. - Nie pomyliłeś się w niczym. Martwię się o Julię jak cholera, chociaż jej nawet nie znam. I powiem ci, że myślę co myślę, ale za żadne skarby się nie poddam. Nie jestem zwykłym człowiekiem, to wie chyba cały świat. Rozwiązywałem kryminalne zagadki, walczyłem, brałem udział w politycznych gierkach, usiłowałem przeżyć. Jeśli tylko zwęszę trop, będę nim podążał, a moi przyjaciele obok mnie. Uwierz mi, bo teraz mówię to pełen pewności. Znajdziemy ją, choćby na drugim końcu świata, Dragon. Jeśli nie masz nadziei, ja będę miał ją za nas dwóch!
Jego towarzysz zmełł przekleństwo, choć słowa Roksa dziwnie podniosły go na duchu.
- O ile żyje.
- Żyje z pewnością. Nie zadawaliby sobie tyle trudu, by ją zwyczajnie zabić. A teraz okaże się, kto tutaj jest lepszy, ten, który włada czarami, czy ten, który magią?
Dragon popatrzył na lekko uśmiechniętego Roksa i zdał sobie sprawę, że może go nazwać przyjacielem, chociaż znali się ledwie kilka godzin.

Stanęli przed bramą. Dom był dość duży jak na gościa, który był zwykłym dostawcą.
- No i co teraz? - zapytał Dragon.
- Ty mi powiedz. - Rox popatrzył na niego z błyskiem w oku. Dragon zastanowił się, oceniając swoje umiejętności. Roksa było stać na wiele więcej, jednak nie może bez przerwy polegać tylko na nim. Jego towarzysz potrafił dobrze walczyć, chociaż teraz był nieuzbrojony, to wciąż niebezpieczny. Miał na swoich usługach magię. A on? Mimowolnie sięgnął dłonią do kieszeni. Tylko czarny marker. Nie ma co, świetna broń.
Lecz wbrew pozorom w jego rękach mogła okazać się niesamowicie efektowna.
- Pukamy i rozmawiamy - powiedział w końcu Dragon.
- Więc do roboty. - Rox uśmiechnął się.

Kiedy się ocknęli, nie bardzo wiedzieli, co się dzieje. Dragon otworzył oczy, niepewny, czego się spodziewać. Najpierw oślepiło go jaskrawe światło. Gdy jednak udało mu się w końcu do niego przywyknąć, dostrzegł, że jest w jakimś hangarze, przywiązany do drewnianego krzesła. Pomieszczenie, w którym się znajdował było niemal puste, ściany były gołe, tylko na wysokości kilku metrów znajdował się jakiś podest. Obok Dragona, w takim samym stanie, siedział Rox. Ten usiłował jeszcze dojść do siebie, co wychodziło mu ze średnim skutkiem. Jęknął przeciągle.
Dragon czuł pulsujący ból w okolicy potylicy. Nie wiedział, co dokładnie go spotkało. Ostatnie, co pamiętał, to że pukał do drzwi domu kuriera.
Bardzo inteligentne, pomyślał. Rox jest znany z pierwszych stron gazet, a skoro tak bardzo chcieli porwać Julię, to znaczy, że bardzo dobrze wiedzieli, kim jest jej chłopak.
Dojrzał jakichś mężczyzn. W głowie mu się kołatało, trudno było mu zebrać myśli, ale policzył ich, powoli i dokładnie. Dziewięciu. Dwóch - w tym ten, który porwał Julię, prawdopodobnie jakiś mag - stało na podeście, daleko z przodu. Czterech grało w karty przy stoliku przed nim. Dwóch czatowało przy obu wejściach, a jeden…
Serce Dragona zamarło.
Jeden z nich stał nad Julią. Leżała niemal w całkowitym bezruchu, w jej pobliżu widać było pojedyncze kropelki krwi, jej ubranie było brudne i gdzieniegdzie poszarpane. Jej twarz była spuchnięta i zakrwawiona, lecz klatka piersiowa podnosiła się i opuszczała. Żyła! Boże, ona naprawdę żyje!
W porządku, ale co z tego? Są tutaj, związani, bezbronni wobec dziewięciu uzbrojonych mężczyzn, w dodatku z których jeden jest magiem. Rox mówił przecież, że on potrafi manipulować samą esencją magii, ale wciąż wyglądał, jakby śnił na jawie, Dragon był niemal pewien, że jego towarzysz nie pojmuje, co się wokół niego dzieje.
- Rox! - syknął cicho. Chłopak się nie poruszył. - Rox!
Wybrany jęknął ponownie. Jeden z grających w karty popatrzył na nich i wstał, powoli zmierzając w ich kierunku. Dragonowi momentalnie serce podeszło do gardła.
- Dragon i Rox… Rox i Dragon… - Mężczyzna nałożył na dłoń kastet. - Nie powiem, napsuliście nam krwi przez sam fakt, że trafiliście na nasz trop. Ale cóż, to było do przewidzenia, w końcu jesteście Wybranymi, nie tak łatwo się z wami rozpra-

wić. Zresztą... tak też planowaliśmy.
Wybranymi… Zaraz, czy oni mają go za Wybranego?! Dragon przeraził się. Przecież on nie jest żadnym Wybranym! Rox, owszem, ale nie on! On wcale nie jest specjalny…
Pomijając głupi, czarny marker w kieszeni jako broń?
Dragon dobrze zdawał sobie sprawę, że nie jest jak każdy człowiek. Ale czy to go od razu czyniło Wybranym?
Bał się. Cholernie się bał. Patrząc na Roksa, Wybrany powinien śmiać się w twarz niebezpieczeństwu, drwić z własnej śmierci! Przecież ten gość potrafił zrobić wszystko, niczego się nie obawiał, zmierzył się z armią cholernych demonów! To Rox może zwać się Wybranym! Nie on, ten, który drży na samą myśl o walce. Ten, który boi się śmierci, który jest tchórzem.
Rozległ się nieprzyjemny trzask. Dragon mimowolnie zamknął oczy, ale to nie on oberwał w zęby. Kilka kropel krwi poleciało w kierunku podłogi, Rox pochylił się i kaszlnął. Splunął czerwoną śliną. Miał rozwaloną wargę i rozcięty policzek. A to był tylko jeden cios.
- Są subtelniejsze sposoby powiedzenia `Czas wstawać` - jęknął. Dragon patrzył na niego z przerażeniem. A Wybrany z kolei zerknął na niego kątem oka. Bez uśmiechu, bez jakiegokolwiek drgnięcia powieki. Po prostu lodowate spojrzenie jego błękitnych oczu.
Wtedy Dragon jakimś sposobem uświadomił sobie, że Rox się boi. Jest przerażony nie mniej od niego samego. Czymże w końcu jest odwaga, jeśli nie przełamaniem swego strachu?
- Popełniliście błąd. Monstrualny - kontynuował mężczyzna. - Stanęliście naprzeciw złych ludzi. Tutaj, w tym właśnie miejscu, kończy się wędrówka Wielkiego Roksa i jego maluczkiego przyjaciela.
- Nie, żeby coś, ale jakoś mi się nie wydaje - odparł na to Rox. Mężczyzna skrzywił się lekko i znów uderzył.
Dragon zachwiał się, ledwie udało mu się zachować równowagę. Miał wrażenie, że pękła mu szczęka, połowa jego twarzy została zmiażdżona, a zęby latają luźno w jego ustach. Na szczęście wciąż był w całości, co nie zmieniało jednak oczywistego faktu. Bolało. Jak cholera.
- Dlaczego…? - wyszeptał. - Dlaczego ją porwaliście? W czym ona wam zawiniła?!
- Ach, to nie ona zawiniła - odpowiedział na to ich oprawca. - Tylko ten tam mag, na górze, zawalił swoją część roboty. Powiedział, że to ona jest Wybranym, że to ją powinniśmy zlikwidować. Tymczasem to przez cały ten czas byłeś ty. Niewiarygodny błąd, prawda? No, ale słusznie stwierdził, że z pewnością tutaj dojdziesz. Po nitce do kłębka. A dziewczyna… Ona służyła nam już tylko do rozrywki.
Dragon poderwał się nagle, acz liny były mocniejsze. Wrzasnął ogłuszająco, gotów przegryźć temu gościowi gardło.
- Nie daruję wam! - ryknął. - Żadnemu z was! Wyzabijam jak psy!
- Ciekaw jestem, jak to zrobisz. - Oprawca uśmiechnął się krzywo.
- Ot, choćby tak - odparł nagle Rox. Rozległo się strzelenie palcami.
Pękły wszystkie krępujące ich liny. Rox wystrzelił jak z procy, chwytając mężczyznę za gardło i wybijając mu pięścią nos głowę. Zginął niemal natychmiast. Jednak chłopak nie zdążył zabrać mu broni.
- Dragon, za mnie! - wrzasnął Rox.
Jego kompan momentalnie spełnił polecenie. Kiedy Rox odparowywał dziesiątki kul za pomocą swojej mocy i używając zwłok jako tarczy, ten przeszukiwał panicznie kieszenie. Jest! Zapalniczka, a także rękawiczki! Wyciągnął je z kieszeni.
- Wiesz, Rox, jest jeszcze coś, o czym ci nie mówiłem - powiedział, nakładając je na dłonie. - W związku z tą zapalniczką.
- Nie może poczekać?! - syknął Rox w odpowiedzi. Dragon wysunął się przed niego, w lewej dłoni trzymał zapalniczkę. Otworzył ją, popatrzył na swego najbliższego przeciwnika i zapalił ją.
Eksplozja wstrząsnęła budynkiem, ale ani Dragonowi, ani Roksowi nie stała się krzywda, kula ognia nie była też nawet blisko Julii. Za to najbliższego przeciwnika całkowicie spopieliło, a tych nieco dalej rzuciło w tył.
Rox odwrócił się powoli i popatrzył na przyjaciela znad ramienia.
- Ty, co to było? - zapytał nieco drżącym głosem. Przypatrzył się zapalniczce. - Ten znak…
- Tak. - Dragon podrzucił zapalniczkę, zamykając ją, i włożył z powrotem do kieszeni. Na dłoniach miał białe, pokryte znakami rękawiczki. - Jestem Mistrzem Runów.
- No, to wiele wyjaśnia. - Rox wykorzystał moment zamieszania wśród przeciwników i wyciągnął pistolet z kabury trzymanych przez siebie zwłok. - Na przyszłość postaraj się informować mnie wcześniej o tak istotnych rzeczach. - Wycelował. Nie był wprawiony w obsłudze broni palnej, widać to po nim było na pierwszy rzut oka. Na dobrą sprawę Rox strzelał wcześniej tylko raz - do Mortii. Elfy pokazywały mu swego czasu, jak strzelać z łuku i choć podstawy pojął w mig, z pewnością nie był typem strzelca wyborowego. Pistolet służył mu więc teraz bardziej jako ogień zaporowy niż prawdziwe narzędzie zagłady.
Rox bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że przeciwników jest więcej i są na wygranej pozycji - w końcu, oni potrafią strzelać celnie. A co mógł zrobić on i Dragon? Rox nie miał przy sobie miecza, którym to umiał walczyć porządnie. Pozostawała im więc magia. Chłopak zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń i wiedział, że wkrótce zacznie się męczyć. Mógł wtedy przepuścić przypadkiem pocisk przez swą zaporę, ewentualnie dobiłby go mag, który jak na razie wciąż nie brał czynnego udziału w walce.

Zupełnie za to nie wiedział, jak działa magia Dragona. Nie słyszał wcześniej o magii runicznej - to znaczy, słyszał, ale jego wiedza nie wykraczała poza obręb powieści fantastycznych - i nie miał zielonego pojęcia, co jego kompan potrafi zrobić za jej pomocą. Ale skoro głupią zapalniczką zdołał wytworzyć kontrolowaną eksplozję takiego stopnia, to z pewnością nie mógł dawać sobie w kaszę dmuchać.
Dlaczego to robisz, Dragon?, zastanawiał się w myślach Rox. Dlaczego dopiero teraz wyjawiłeś mi swój sekret, dlaczego, mimo swej potegi, uważasz się za małego, nic nieznaczącego chłopaka? Przecież przygotowywałeś się do takich sytuacji krytycznych, jak ta. Najlepiej świadczą o tym te spreparowane rękawiczki.
Kim jesteś, Dragonie Mistrzu Runów? Który `ty` jest prawdziwy? Jesteś płochliwym chłopakiem, czy też...
Jesteś zupełnie taki, jak ja?
Mag poruszył się, wyciągnął przed siebie ręce. Wliczając do tego jeszcze serie z kilku karabinów, Rox i Dragon z góry założyli już swą porażkę.
Wtedy jednak kolejny huk pistoletu zmieszał się z terkotem innych. Mag przeleciał przez barierkę z głową przestrzeloną na wylot.
Ich wybawieniem okazał się mężczyzna (przynajmniej tak wydawało się parze Wybranych, trudno było ocenić z tej odległości), otulony czarnym, długim płaszczem i noszący białą, wymyślną maskę. W ręku trzymał rewolwer dużego kalibru. Zadziwieni przestępcy przerwali ogień i popatrzyli na niego. Dragon i Rox natychmiast zwęszyli okazję. Mistrz Runów rzucił się w stronę Julii, uderzając dłonią w dłoń, sypiąc z nich iskry i maleńkie wyładowania elektryczne. Jego przyjaciel z kolei cisnął zwłokami w stronę najbliższego oponenta, strącając go z nóg. Oddał ostatnie dwa - celne - strzały w kolejnego. Przybysz zlikwidował drugiego przeciwnika, który stał na podeście - uderzył jego głową w barierkę i przerzucił go. Nieszczęśnik wylądował na karku, krusząc go i zostawiając nieprzyjemną plamę na betonowej podłodze. Potem tamten zeskoczył z platformy i wylądował miękko na podłodze, tak jak i Rox zajmując się kolejnymi przeciwnikami.
Dragon tymczasem biegł w stronę swojej ukochanej, wrzeszcząc wniebogłosy. Dziewczyna nagle podniosła głowę, wpatrując się w niego, oszołomiona. Wyglądała na przerażoną, ale przecież miała prawo taka być.
Pozostało mu jakieś dziesięć metrów, gdy pilnujący ją przeciwnik wycelował w dziewczynę z pistoletu i nacisnął spust.
Dragon ryknął ogłuszająco, widząc rozbryzg krwi swej ukochanej i dziurę w jej brzuchu. Uderzył oponenta z pięści, mocarny, runiczny cios posłał go daleko w tył. Późniejsza sekcja zwłok stwierdziła u niego całkowite zniszczenie i spopielenie wszystkich narządów wewnętrznych. Nie żył, zanim jeszcze zdążył upaść na podłogę.
Przerażony chłopak przykucnął przy Julii. Nie było słychać strzałów. Nie interesowało go to, że był teraz łatwym celem. Julia, to Julia była tu najważniejsza! Rox, ROX! Gdzie ten cholerny Rox! Potrzebuję cię, bracie!
Rox tymczasem zlikwidował ostatniego z przeciwników. Rozejrzał się, ale tajemniczego mężczyzny nie było nigdzie widać. Po prostu zniknął, ale Rox i tak wpatrywał się w małe okienko na dachu, które kiwało się lekko.
- Mogę cię wyczuć… - szepnął sam do siebie.
- ROX! - usłyszał w końcu paniczny wrzask Dragona. Podbiegł do niego natychmiast. Nie ucieszył się z tego, co zobaczył. Kula wbiła się w brzuch dziewczyny i utkwiła wewnątrz. Rox przypuszczał, że przeorała jej jelita. Julia krwawiła obficie. A on nie był lekarzem. Mruknął coś pod nosem. Zdecydowanie nie mieli czasu na wzywanie pogotowia.
- Dragon, ściśnij jej ranę, mocno! - nakazał.
- Boli… - jęknęła dziewczyna.
- Skarbie, nic nie mów. Wszystko będzie dobrze - powiedział łamiącym się głosem Dragon. - Jestem przy tobie, już nic ci nie grozi… Nie bój się.
- Ty chyba boisz się bardziej niż ona. Zamknij oczy. - Rox położył rękę na ramieniu chłopaka. Nagle coś go szarpnęło, chwilę później poczuł się dziwnie…
A gdy otworzył oczy, był w lesie.
- Dragon, trzymaj tę cholerną ranę! - warknął Rox. Potem wziął w płuca wielki haust powietrza. - CARTHAN! - ryknął tak, że usłyszeli go chyba na krańcu puszczy. - Carthan, kretynie, potrzebuję cię!
- Rox…? - Carthan wyłonił się nagle zza drzewa. - Co się… O bogowie. - Przebiegł pozostały dystans, wślizgiem pokonał ostatnie kilka metrów i zatrzymał się tuż przy dziewczynie. - Co się stało?
- Oberwała kulkę - wyjaśnił Rox. - Wciąż jest w środku. Obstawiam na poharatane jelita. Mocno krwawi.
- Nie będzie łatwo… - mruknął Carthan.
- Nie prosiłem cię o opinię, tylko o to, żebyś ją połatał, i to szybko!
- Będę potrzebował waszej energii - mruknął wojownik. - Weź rękę.
- Dragon… Jesteś tu? - Julia wyglądała tragicznie, była blada, miała trudności z otworzeniem oczu. Jej chłopak natychmiast chwycił ją za dłoń i ścisnął ją mocno.
- Jestem - powiedział cicho, żeby nie było słychać, jak łamie mu się głos. Po jego twarzy już spływały łzy. Jakoś wcale nie miał poczucia, że to źle, miał wrażenie, że jego towarzysze zrozumieją to bez najmniejszej oznaki krytyki. - Wszystko będzie dobrze. Wytrzymaj jeszcze trochę.
- Kula jest zaklęta - mruknął Carthan w przerwie między jedną długą formułką Szarych Słów, a drugą. - To wyjaśnia ten

krwotok, przecież nie powinna krwawić aż tak drastycznie od tej rany.
- Poradzisz sobie? - zapytał go Dragon. Carthan przyciskał mocno rękę do rany dziewczyny.
- Nie gadaj, skończ ryczeć i nam pomóż! - Rox chwycił dłoń chłopaka, położył ją na ręce Carthana, a potem dodał również swoją.
Carthan mamrotał swoje zaklęcia, Dragon szeptał uspokajająco do ucha słabnącej dziewczyny, a Rox modlił się w głębi duszy, żeby cała ta operacja się powiodła. Czuł upływ energii, ale to dobrze. Carthan nie może martwić się swoim limitem, zwłaszcza jeśli pocisk jest zaklęty. Spokojnie, ostrożnie…
Nagle wojownik zaczął szeptać szybciej, jego twarz przybrała skupione oblicze, napięcie sięgało zenitu. W końcu urwał nagle, oddychając ciężko. Nikt się nie poruszył, wszyscy byli niepewni wyniku. Ale w końcu Carthan się uśmiechnął. Pokazał im wierzch dłoni, na której leżała mała, ołowiana kulka. Skóra na brzuchu dziewczyny była idealnie wyleczona, nie została po niej nawet blizna. Dragon musiał z całych sił się wstrzymywać, by nie rzucić się wojownikowi na szyję w podzięce.
- Julia! Julia! - mówił Mistrz Runów. - Jak się czujesz? Boli cię coś?
- Dragon... Oni robili mi takie straszne rzeczy... - Na twarzy dziewczyny pojawiły się łzy. - Czy ty mnie nie znienawidzisz?
Zrozumieli, wszyscy. Nagle Rox poczuł, że gdyby mógł, zamordowałby całą bandę jeszcze raz, bez mrugnięcia. Wolał sobie nawet nie wyobrażać, co czuł teraz Dragon. Objął mocno dziewczynę, przytulił ją, a ona wtuliła się w jego pierś.
- Nigdy cię nie znienawidzę - powiedział. - Przecież wiesz. Kocham cię i nic tego nie zmieni.
- Skoro już wszystko gra, pozwólcie… - Rox wstał i odwrócił się szybko. Dragon zdążył dostrzec smutek na jego twarzy, a Carthan wpatrywał się w swego przyjaciela bez słowa.
- Czy to…? - chciała zapytać Julia.
- Tak - rzekł od razu Dragon. - To Rox. A ten tutaj to Carthan, prawda? Jestem Dragon, a to - Julia.
- Miło mi was poznać. - Carthan uśmiechnął się blado. - Witajcie w Taurdilu, elfiej stolicy.
Julia jęknęła przeciągle, gdy uniosła się na łokieć. Carthan i Dragon niemal jednocześnie położyli ją na trawie.
- Musisz jeszcze odpocząć - powiedział Carthan. - Straciłaś wiele krwi, musiałem magicznie podtrzymywać cię przy życiu, to tylko dlatego potrzebowałem tak wiele waszej energii. Za chwilę ci przejdzie, ale musisz jeszcze trochę poleżeć. - Popatrzył na Dragona. - Goń za nim.
- Co…? - zdziwił się chłopak.
- Musi się komuś wygadać. Skoro ci pomógł, to naprawdę cię polubił. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jest nieufny. No, dalej. Tymczasem wyleczę pozostałe rany Julii. Zaraz do was dołączymy.
Dragon wpatrywał się w Carthana przez chwilę, potem pocałował Julię.
- Dzięki - powiedział, zerkając na Carthana, potem żwawo ruszył za Roksem.
Rox z kolei stał oparty o drzewo, wpatrując się w dal nieobecnym wzrokiem. Dragon wpatrywał się w niego przez chwilę, świadom, że jego przyjaciel jeszcze go nie dostrzegł.
- Kogo skrzywdzili, Rox? - zapytał cicho Dragon. Wojownik teraz dopiero popatrzył na niego w pełni świadomym wzrokiem. - Jestem taki sam, jak ty. Dlatego mi pomogłeś, prawda? Nie zrobiłeś tego ze względu na Julię, tylko na mnie.
Rox spuścił wzrok, wpatrując się w czubki swoich butów. Skinął tylko głową. Obaj milczeli przez chwilę.
- Eliza, moja dziewczyna… - zaczął Rox, potem urwał, jakby chciał zebrać myśli. - Miała wypadek. Kilka dni temu. Jej stan jest już stabilny, ale wciąż jest utrzymywana w śpiączce. Świadomość sprawiłaby jej ból. Przerwany rdzeń kręgowy. Ona… Pomogła mi w walce z demonami. Teraz już nigdy nie postawi tutaj kroku o własnych siłach. - Popatrzył na Dragona. - Wiem, jak to boli, kiedy ktoś, kogo kochasz zostaje skrzywdzony. Nie mogłem patrzeć na ciebie, załamanego. Po prostu… - Westchnął, znów spuścił wzrok. - Tak, jakbym sam chciał sobie coś udowodnić. Bo jak mogę być najpotężniejszym człowiekiem obu światów, jak mam utrzymywać między nimi równowagę i zaprowadzić porządek, kiedy nie potrafię ochronić swoich bliskich?! Powiedz mi, Dragon! Powiedz!
- Bez względu na wszystko, przede wszystkim jesteśmy ludźmi.
Rox popatrzył na towarzysza ze zdziwieniem w oczach. Dragon miał rację. Mógł być sobie Wybranym, potężnym wojownikiem, ale wciąż był człowiekiem. Nie mógł być wszędzie, nie mógł wiedzieć, co się wydarzy i w końcu, popełnia zwyczajne, ludzkie błędy.
- Musiałbyś stać się Bogiem, Rox - kontynuował Dragon. - A nikt nie może stać się Bogiem. Nie możesz ochronić wszystkich. Nie sam.
- Ale ja już nie jestem sam… - zdał sobie sprawę. - Dragon. Chcę stworzyć drużynę. Bandę najpotężniejszych z potężnych. I chcę, żebyś do niej dołączył.
Tym razem to Mistrz Runów stanął jak wcięty.
- Że co…? - zdziwił się. - Ja? Potężny? Jedyne, co potrafię, to nabroić przez kilka głupich znaczków. Nie nadaję się do walki, nie potrafię walczyć mieczem, strzelać z pistoletu, beznadziejny ze mnie mówca…
- Jesteś kimś więcej, Dragon. Przyjacielem. - Rox wyciągnął dłoń. - Wybrani naprawdę szybko się uczą, a ja widziałem, na co cię stać, do czego byłeś zdolny, by chronić ukochaną. Dlatego proszę cię. Bez żadnych zobowiązań, bez przysiąg, bez rozkazów, nakazów i zakazów.

Dragon zastanowił się przez chwilę, wpatrując się w wyciągniętą w jego stronę dłoń. W końcu wzruszył ramionami.
- Niech ci będzie, draniu. - Uścisnął ją. - Ale teraz musisz mi wybaczyć. Bardzo dobrze zdajesz sobie sprawę, co zrobili Julii. Muszę przy niej być.
- Rozumiem. - Rox skinął głową. - To niewiarygodnie twarda dziewczyna, Dragon. Każda inna już by się załamała, a ona dzielnie się trzyma. Dbaj o nią.
Dragon rzucił mu tylko porozumiewawcze spojrzenie, a potem odbiegł. Rox westchnął cicho.
Dlaczego Elizę musiało to spotkać? Dlaczego los rani wszystkich tych, na kim mu zależało? Pomyślał o Dragonie i Julii.
Cóż, u nich, Bohaterów, to było chyba w genach.

Znów to poczuł.
Uczucie, jak wtedy, w hangarze. Magiczny ślad. Niemal jak zapach.
Dziś ostatni dzień szkoły. Zaraz się spóźni.
Z drugiej strony, ta okazja mogła się już więcej nie powtórzyć.
Ruszył za tropem. To któraś z tych dumnie kroczących w stronę Rynku Głównego osób. Nie miał jak zgadywać, było ich zdecydowanie zbyt dużo, a wyczucie Roksa nie pozwalało mu nawet precyzyjniej wyznaczyć odległości. Nie przy tym tłumie. Zastanawiał się, co w ogóle pozwala mu go wyczuć. Nie miał pojęcia, za to był pewien jednego.
Zaraz dowie się, kim był ich wybawiciel.
Tłum się przerzedził. Niewiele, ale jednak. Rox pilnował, by ślad nie skręcił gdzieś, gdzie on go zgubi, lecz nie - wciąż szedł z tłumem w stronę Rynku.
Problem zaczął się już na placu. Tłum rozchodził się, lecz Rox nie mógł zlokalizować dokładniejszego położenia swego celu. Przygryzł wargę. Nie może go zgubić! Nie teraz!
Gdzieś z prawej. Ruszył w tamtą stronę, postanawiając zaufać swemu przeczuciu.
Zgubił go.
Nie, nie, nie! Gdzie jesteś, draniu?! Nie możesz mi teraz zwiać! Nie, kiedy prawie cię znalazłem!
Czy tamten zdawał sobie sprawę, że Rox go śledził? Może jest w stanie ukrywać swoją obecność…?
Nie, to nie ma sensu. Gdyby potrafił się ukryć, zrobiłby to, gdy ratował ich nieszczęsne tyłki i nie miałby teraz żadnego problemu.
No, dalej, Rox! Gdzieś tu jest! Nie mógł przecież wyparować! Potrzebujesz tylko tego małego śladu, który gdzieś tu…
…w księgarni.
Rox przez chwilę stał zdumiony, patrząc na drzwi sklepu z książkami. On tam jest, zdał sobie sprawę. Wziął głębszy oddech i wszedł do środka.
Stał tam, przy półce, wpatrując się w strony książki trzymanej w rękach. To był on, tego akurat Rox był pewny w stu procentach. Chłopak nie wiedział zupełnie, co powiedzieć, a przecież nie mógł się wahać. Zerknął na okładkę trzymanej przez niego książki. Uśmiechnął się lekko do siebie.
- Ta akurat jest jedną z gorszych książek tego autora - powiedział. - Polecam tę drugą.
- Proszę wybaczyć, lecz sam zdecyduję, co mi się podoba, a co nie - odparł uprzejmie mężczyzna, nawet nie podnosząc wzroku.
Rox umilkł. Przez krótką chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu westchnął.
- Chciałem podziękować. Uratowałeś nam obu tyłki, dzięki tobie udało nam się uwolnić dziewczynę…
- Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi - odparł znów spokojnie. Rox uśmiechnął się do siebie.
- Chyba jednak wiesz. W jakim innym wypadku byłbyś taki spokojny, słysząc niewiarygodną historyjkę od faceta, którego widzisz pierwszy raz na oczy? Byłbyś co najmniej zdziwiony.
Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w stronice książki w całkowitym bezruchu. W końcu uniósł wzrok, odłożył tom na półkę i popatrzył poważnie na Roksa.
Chłopak mógł przyjrzeć mu się pierwszy raz. Mężczyzna miał niecodzienne, srebrne włosy, choć wyglądał na jakieś trzydzieści lat. Jego zielone oczy emanowały nienaturalnym spokojem. Wysoki, dobrze zbudowany, ubrany w szary podkoszulek i czarne dżinsy.
- Jesteś albo świetnym kanciarzem, albo niewiarygodnym detektywem, Rox.
- Albo oba. - Chłopak wyszczerzył się. - Choć nie powiem, twoja aura znacznie mi pomogła.
- Możesz mnie wyczuć? - zdziwił się mężczyzna, mimochodem kładąc dłoń na swojej piersi. - Jak?
- Nie wiem i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Widzę, że mnie znasz, lecz niech to będzie oficjalna znajomość. - Wyciągnął rękę do nieznajomego. - Rox.
Ten zawahał się przez sekundę, potem uścisnął jego prawicę.
- Eangel. I to naprawdę nie było nic szczególnego. Polowałem na tych gości od trzech miesięcy. Ty i twój kolega daliście mi sposobność. Również wam dziękuję.
- Jestem pewien, że Dragon i Julia chcieliby ci podziękować osobiście. - Rox popatrzył Eangelowi w oczy. - Dasz im taką

sposobność?
- Wolałbym nie, Rox. Spotkanie ciebie to wystarczające ryzyko…
- Ryzyko do czego? - Oczy chłopaka błysnęły ciekawie. - Jesteś niewiarygodnie spokojny, uratowałeś nas, poszukiwałeś ich dłużej niż my. Potrafisz świetnie walczyć, mogę to stwierdzić jedynie po tych kilku sekundach, kiedy cię widziałem w akcji. Ale z drugiej strony boisz się kontaktów z ludźmi, Eang. Dlaczego? Co takiego zjada cię od wewnątrz?
- Wkraczasz na grząski grunt, kolego. - W głosie Eangela zabrzmiała groźba.
- Myślisz, że się tym przejmę? Nie miałem miecza. To był ten główny powód, dla którego było nam ciężko wygrać. Gdyby nie to, że musiałem zajmować się jeszcze Dragonem i Julią wraz, nie męczyłbym się tak. Jesteś zagadką, kolego. Nie mam zamiaru jej rozwiązywać, w końcu to nie moja rzecz, ale jeśli będę musiał, jeśli będziesz stanowić dla nas zagrożenie, nie zawaham się.
- A mówisz mi o tym, bo…? - Eangel zbliżył się do Roksa. Był wyraźnie wyższy od niego. - Tak ci zależy na tym, żeby ten twój Dragon i jego dziewczyna powiedzieli mi głupie `dziękuję`?
- Nie. - Rox momentalnie się rozluźnił, uśmiechnął się. - Chcę cię prosić o to, byś nas wyszkolił.
Eangel wbił w niego wzrok. Miał wrażenie, że się przesłyszał.
- Pojawiłeś się niemalże znikąd - kontynuował Rox. - Strzelasz celnie, a ja - przeciwnie. Broń palna może przeważyć szalę zwycięstwa na naszą stronę w wielu walkach. Po prostu muszę… musimy dobrze się nią posługiwać. Poza tym, jesteś potężny. Czuję to. Masz wypracowane działania na każde zagrożenie, nawyki, wszystko. A my… musimy nauczyć się chronić naszych bliskich. Proszę. Zgódź się.
- A co ja za to będę miał? - zapytał z ciekawością.
- Co powiesz na miejsce w naszej małej bandzie?
Eangel zaśmiał się.
- Dziękuję bardzo, ale spasuję. - Zastanowił się. - W porządku, Rox, zgoda. Wyszkolę was, pod jednym warunkiem. Przez całe wakacje nie istniejecie dla świata, a świat dla was. Jestem tylko ja i wasz trening, podczas którego będziecie mogli zresztą umrzeć. Odpowiada ci taki układ?
Wyciągnął przed siebie dłoń. Rox ścisnął ją bez wahania.

- Wasza Wysokość, sir Rox z towarzyszem pragną audiencji.
Amvida wstała, słysząc tę wieść. Kazała strażnikowi ich wpuścić.
Carthan opowiadał jej o jego treningu i wypadku Elizy. Było jej niezmiernie przykro z jej powodu, bo choć widziała ją niedługo, naprawdę zdążyła ją bardzo polubić. A teraz jej luby stał przed nią, po ponad dwumiesięcznym treningu, który mógł kosztować ich życie.
Strażnik ukłonił się królowej i wyszedł, wracając na swój posterunek na zewnątrz drzwi.
Amvida przez jakiś czas nie odzywała się ani słowem, przyglądając się przybyłym. Obaj ubrani luźno, trzymali na plecach tobołki z ekwipunkiem, przy pasach mieli miecze i jakąś dziwną broń… Amvida jak przez mgłę przypominała sobie, że czymś takim Rox zaatakował Mortię podczas jej demonicznej inwazji na jego świat.
- Ciebie też miło widzieć, Amvido. - Rox uśmiechnął się wrednie, w jego stylu. - Kopę lat, co?
- Rox… - Królowa w końcu przypomniała sobie, że można by się odezwać. - Przepraszam, zamyśliłam się. - Uśmiechnęła się z politowaniem. Popatrzyła potem na drugiego z przybyłych. - Ty jesteś Dragon, prawda? Carthan wiele mi o tobie opowiadał. Mistrz Runów, te sprawy…
- Miło mi. - Dragon uśmiechnął się. Amvida zachichotała. Prędzej podałby jej dłoń, niż się ukłonił.
- Widzę, że wdajesz się w Roksa. Nigdy nie uginać karku przed nikim, prawda? - Popatrzyła na drugiego chłopaka. - Rox… Jak z Elizą?
- A jak ma być? - mruknął, krzyżując ręce na ramionach. - Byłem przy niej, gdy się obudziła. Trzymałem ją za rękę, szeptałem pocieszające słowa i byłem świadom, że i tak nie pomogą. Płakała i z pewnością będzie płakać jeszcze długo. Nigdy więcej nie postawi kroku o własnych siłach, nigdy więcej nie pojawi się w Delluin. Myślisz, że jestem teraz szczęśliwy, kiedy ona przez długi czas taka nie będzie?
Amvidę zatkało. Westchnęła.
- Przepraszam. Teraz w dodatku chcę was prosić o coś, co również może zająć wam dobre kilka miesięcy.
- Genialnie - mruknął Rox. - A Carthan? Nie wybiera się?
- Niestety nie. Posłuchajcie mnie uważnie, panowie. Sprawa prezentuje się następująco… Rox, przypominasz sobie, jak byliście z Carthanem za morzem, prawda? Z pewnością pamiętasz. Aktualny król, Kazadan, prowadzi ekspansję. Prosił nas o dostarczenie wsparcia. Chcemy utrzymać z nimi jak najlepsze stosunki dyplomatyczne. Carthan jest w tej chwili… niedysponowany. Dlatego poprosiłam ciebie, Rox. Najpotężniejszy człowiek obu uniwersów z pewnością nada się jako wsparcie, czyż nie? Dlatego proszę cię, proszę was obu: Pomóżcie. Wybierzcie się na drugą stronę, pobądźcie przez chwilę i wróćcie.
Rox skrzywił się, przymknął oczy, kalkulując coś w myślach. Dragon zerknął na niego, Amvida wpatrywała się z nadzieją w

oczach. W końcu chłopak otworzył swe błękitne oczy i popatrzył na królową.
- Rozumiem… - powiedział, acz wyraźnie widać było, że zmierza do większej tyrady. - Żeby Wybrany mógł bez przeszkód przenosić się między konkretnymi miejscami, musi je dobrze znać. Znam świetnie niemalże całe Delluin, a także mój rodzinny Kraków, dzięki czemu jestem w stanie poruszać się między nimi - a także na nich - czymś w rodzaju teleportacji, za jej pomocą też zabiłem Mortię. Logicznym jest, że jeśli wyruszymy na drugi kontynent… Jak w ogóle się nazywa?
- My nazywamy go Merdawn.
- Merdawn… - powtórzył Rox, unosząc lekko brwi. - No dobrze. Wyruszymy więc na Merdawn. Najrozsądniejszym wyjściem jest zabawić tam wystarczająco, by się go nauczyć, byśmy mogli przenosić się tam jako wybrani. Zajmie nam to jakieś… cztery miesiące, tak myślę. Cztery miesiące, żeby nasze ciała i nasze umiejętności zdołały stwierdzić, że oto jest teren, który znają i z pewnością do niego trafią. Każesz nam znowu zniknąć na bardzo długi czas, Amvido. Cztery miesiące na samym kontynencie. Pięć, licząc z dopłynięciem. Nie ma mowy, żebyśmy mogli zrobić to na `proszę`. Jesteś naszą przyjaciółką, możesz sobie być tą cholerną królową ludzi, ale nie zrobimy tego dla własnej satysfakcji. Bo, będę szczery, gówno nas obchodzi polityka i wasze stosunki dyplomatyczne.
- Więc czego oczekujesz, Rox? Majątku? Nigdy nie robiłeś nic dla bogactwa. Sławy? Na niej również ci nie zależy. Czego więc chcesz? Mamy o tobie pisać legendy, opowiadać historyjki o Zabójcy Demonów dzieciom?
- To wpisuje się w sławę. Ale nie, Amvido. Nie chcę tego. - Przysunął się do niej, przybliżył twarz. Królowa wpatrywała się oszołomiona w jego oczy, nie mogąc oderwać od nich wzroku. - Jedyne, czego oczekuję ja, to odrobina wdzięczności. Kiedy pokonaliśmy Alhilda, dostałem nic dla mnie nie warty szlachecki tytuł… Choć to się akurat chwali, bo o mnie pamiętałaś. Helmerel dalej wisi mi krasnoludzkiego kielicha, to też jest w porządku…
- Elfy - doszła w końcu Amvida. Rox potwierdził krótkim skinięciem głowy, a królowa westchnęła. - Dobrze wiesz, że spiczastouchych do niczego nie przekonasz. Melanis… Znasz ją.
- Ocaliłem jej cholerne życie! - niemal wrzasnął Rox. - Nie raczyła nawet powiedzieć głupiego `dziękuję`, a z tego, co wiem, to zależy jej na tych dyplomatycznych stosunkach tak samo, jak tobie i Helmerelowi!
- Rox, uspokój się! - ryknął na niego Dragon. Przez chwilę towarzysz Mistrza Runów przyglądał mu się ze zdumieniem, a ten z kolei wyglądał, jakby miał zamiar trzasnąć go w twarz, jeśli się nie uspokoi. - Co ma Amvida do Melanis?! Masz zamiar karać ją za coś, co zrobiła przedstawicielka wywyższającej się rasy?! Sam dobrze wiesz, jakie są elfy! Więc jako twój przyjaciel dobrze ci radzę: Stul swój parszywy pysk! - Zostawił Roksa samego sobie, popatrzył na Amvidę. - Dlaczego Carthan nie może z nami wyruszyć?
- Po prostu jest mi potrzebny, jako przedstawiciel naszych ras. Pertraktujemy z Braam sojusz.
- Gdzie jest Lasanwar? - pytał dalej Dragon.
- Jeszcze w Taurdilu. Doleci tutaj w pół dnia, więc…
- Wezwij go natychmiast - poprosił Mistrz Runów. - Będziemy potrzebowali trochę pieniędzy i żywności.
- Dostaniecie tyle złota, ile będziecie potrzebować, żywność jest już gotowa na statku.
Dragon skinął głową.
- Zostawimy tutaj nasz ekwipunek. Niech Lasanwar będzie na nas czekał, ma być gotowy do odlotu z samego rana. Tymczasem my wrócimy jutro. Musi odpocząć, nie mam ochoty męczyć go nieprzerwanym lotem.
- Załatwione - odpowiedziała Amvida. Dragon skinął jej głową, potem szturchnął Roksa.
- Chodź. I ani słowa.
Rox, oczywiście, zdał sobie sprawę, że popełnił straszliwe faux pas i Dragon miał prawo zrobić, co zrobił. Nawet by mu za to chętnie podziękował, ale wstyd skutecznie zamknął mu usta.
Dragon bardzo dobrze wiedział, jakie uczucia targają jego przyjacielem. Przeszli razem morderczy trening (za którego przyjęcie zabójczych warunków miał ochotę obić Roksowi pysk) u Eangela (który zresztą nie zechciał wstąpić do bandy wtedy, gdy Rox nieomal zaczął go błagać, ale szybko uprzytomnił sobie swoje kretyńskie zachowanie) i miał dzięki temu wiele okazji, by poznać swego towarzysza broni i lidera lepiej. Poniekąd zresztą przyznawał mu rację - elfy nie potrafiły zupełnie wyrażać uczuć. Ale wina leżała też po stronie Roksa, który najzwyczajniej nie potrafił dać sobie siana i odpuścić. Rozpaczliwie pragnął ich uznania, bo był niepoprawnym marzycielem. Od dziecka chciał być bohaterem, walczyć w imię dobra, a kiedy po latach ta nieszczęsna, niewiarygodna imaginacja stała się prawdą, chciał choć tyle z tego mieć. Głupie `dzięki` od każdej z wielkich ras, a choć Iariel z pewnością była mu wdzięczna i to okazywała, on pragnął uznania Melanis. Ilekroć Dragon o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się to zwyczajnie dziwne. Najpotężniejszy człowiek dwóch światów chce... nieomal nawet marzy o uznaniu przez bandę spiczastouchych bez empatii. To czyniło go człowiekiem, którego Dragon nie potrafił znaleźć wśród dziesiątek tych potężnych postaci z książek lub filmów. Tamci chcieli tylko `uratować świat/rodzinę/ukochaną/zemścić się`, do wyboru.
A oto świat dostał dzieciaka, do którego etykietka `najpotężniejszy` przyległa dekady za wcześnie, a u którego tę potęgę stanowił niecodzienny typ magii. Wciąż nie miał doświadczenia i choć uczył się niezmiernie szybko - jak na Wybranego przystało - i nie potrafiłby sprostać oczekiwaniom innych.
Po prostu korzystający jak najlepiej z danej mu okazji nastolatek. A czy kiedykolwiek świat - bądź oba - mu za to podzię-

kują, zapewne nie dowiedzą się za swojego życia.
- Przeszło ci? - zapytał Dragon. Rox skinął głową.
- Dziękuję. Amvida może i wie o mojej reakcji, ale cóż... Potrzebny mi ktoś taki jak ty, żeby to brutalnie ukrócić.
- Dobrze wiesz, że elfy kiedyś przyjdą błagać cię o pomoc na klęczkach, a ty bez mrugnięcia będziesz mógł im odmówić. W każdym razie, Rox, mamy czas do rana. Proponuję, żebyś się pożegnał z bliskimi.
- Idę do Elizy. Rodzina już wie, że mnie nie będzie.
- Więc do jutra, przyjacielu.
Rozwiał się na pałacowym dziedzińcu, zostawiając Roksa samego z jego myślami. Ten westchnął ponuro. Naprawdę nie mógł winić Elizy, że jest załamana, ale on nienawidził, kiedy miała złe samopoczucie. Zawsze była wesoła i znajdowała pozytywny aspekt we wszystkim, taką też Rox ją pokochał. Teraz... Była jakby inną osobą. Smutną.
Więc spraw, by na jej twarzy znów zagościł uśmiech! Co, nie poradzisz sobie? Ty?
Przymknął oczy i przeniósł się praktycznie pod jej drzwi wejściowe. Wziął głębszy oddech i wcisnął przycisk dzwonka.
Drzwi otworzyły się po chwili, ukazała się w nich matka dziewczyny. Twarz miała zatroskaną. Od razu dostrzegła wyposażenie chłopaka, który normalnie nie paradował z bronią u pasa. Zrozumiała. Wkrótce wyruszał, na długi czas, jak zwykle. Chłopak uśmiechnął się blado. Dobrze zdawał sobie sprawę z wątpliwości kobiety. Czy faktycznie facet, który zostawiał swoją ukochaną na bez mała pół roku... Czy on był dla niej dobry? Powinien przy niej być, nie opuszczać jej na krok, zwłaszcza teraz.
- Co z nią? - zapytał Rox, gdy wszedł do domu. Pierwsze krople deszczu spadły na szyby. Westchnął cicho.
- Wpatruje się godzinami w okno i rozmyśla.
Przez chwilę Rox pożałował, że nie wziął jakiegoś kwiata dla Elizy. Dziewczyna była praktyczną osobą i nie przepadała za takimi prezentami, które przez chwilę ładnie wyglądają, a potem trzeba się ich pozbyć, ale przecież co z tego? Z pewnością ucieszyłaby się z samego faktu podarku. Westchnął ponownie.
Już chciał wejść do pokoju dziewczyny, kiedy jej matka chwyciła go za ramię.
- Boi się. Niewiarygodnie się boi, że ją zostawisz, bo nie może chodzić. Powiedz mi, proszę, tylko powiedz, że to nieprawda.
- Powinniście być o tym przekonani - odparł Rox. - Bo ten wypadek nie zmienia absolutnie niczego między nami. - Zapukał do drzwi pokoju swej ukochanej i wszedł, nie czekając na odpowiedź.
Deszcz bębnił w szyby, w które wpatrywała się siedząca na wózku inwalidzkim Eliza. Nawet nie zwróciła uwagi na to, kto wszedł. Rox zamknął za sobą drzwi.
- Cześć, skarbie - powiedział cicho, podchodząc doń i całując czule w policzek. - Jak się czujesz?
Wzruszyła ramionami.
- A jak przypuszczasz? - powiedziała. - Chyba nie za fajnie, co?
Rox zmarszczył brwi, lecz pochylił się i objął dziewczynę zza pleców, wdychając przez chwilę zapach jej włosów.
- Wciąż wspaniale pachniesz - szepnął jej do ucha. No, dalej, dziewczyno. Uśmiechnij się do mnie, nie proszę o wiele.
- Zawsze tak mówisz - odparła ponuro dziewczyna, wciąż wpatrując się w okno i padający deszcz. Rox stracił cierpliwość. Zasunął rolety, pstryknął włącznik lampki nocnej, rozpraszając mrok miękkim, żółtym światłem.
- Hej...! - usiłowała zaprotestować dziewczyna. Rox podszedł do niej, schylił się i przerwał jej pocałunkiem.
- Posłuchaj mnie - rzekł w końcu. - Jutro rano wyruszamy, ja, Las i Dragon. Nie będzie nas co najmniej pięć miesięcy, chyba że coś pójdzie tak tragicznie źle, że będziemy musieli się stamtąd błyskawicznie ewakuować, acz w to wątpię. Przyszedłem tu tylko dla ciebie, skarbie. Jeśli mnie tu nie chcesz, mogę sobie iść. Spędzę resztę nocy w jakimś barze, Dragon zadba, żebym jutro wytrzeźwiał...
- Nawet sobie tak nie żartuj, Rox. Potrzebują cię tam żywego i w dobrym stanie...
- Przeżyją. Sam Dragon da sobie radę. No, cóż... Chyba nie masz ochoty mnie tu widzieć... - Wstał i skierował się ku drzwiom.
- Rox... - zatrzymała go. Popatrzyła się na niego, wreszcie! - Ile masz czasu?
Uśmiechnął się.
- Calutką noc, do rana. Tylko dla ciebie.
Podszedł do niej.
- Czy... wciąż mnie kochasz? Mimo tego...?
- Oczywiście. Moja Eliza to moja Eliza, bez względu na wszystko. Mam ci to jeszcze udowodnić?
Uśmiechnęła się! W końcu się uśmiechnęła! Rox poczuł się naraz niewiarygodnie szczęśliwy.
- W porządku... - zaczęła Eliza. - Zobaczymy, czy uda ci się sprawić, że zamiast o moim kalectwie będę myśleć wyłącznie o tobie przez cały ten czas. Masz całą noc. Czas - start.
Rox wyszczerzył się.

- Rox! Wyglądasz tragicznie! - wypalił Lasanwar na wstępie. - Coś ty wyprawiał w nocy?
- Też się cieszę, że cię widzę - odparł słabo chłopak. - Zresztą to nie opowieść dla takich dzieciaków jak ty.
- Jakież to zabawne... - mruknął smok. - Domyślam się, że pozwoliłeś w końcu jej zasnąć. Inaczej nie byłoby cię tu przed

wschodem słońca. Nikogo jeszcze nie ma. - Zamilkł na moment. - Jak z nią?
- Znacznie lepiej. A gdy wrócimy, jeszcze jej to wynagrodzę. Można powiedzieć, że pozałatwiałem wszystkie sprawy przed odlotem.
Złoty smok zaśmiał się. Rox uśmiechnął się. Lasanwara nie musiał nawet prosić o dołączenie do drużyny, był w niej już z definicji. I był z tego zresztą bardzo rad.
- Będziesz musiał mi pozwolić przekimać się na twoim grzbiecie, przyjacielu - powiedział Rox. Las tylko wyszczerzył wszystkie swoje zębiska w uśmiechu.
Łuna wschodu pojawiła się już na niebie. Rozległ się jakiś hałas; to Amvida usiłowała w jednym kawałku zejść po kamiennych schodach na przedzamcze. Na szczęście, udało jej się to. Towarzyszyło jej dwóch strażników.
- Rox! - ucieszyła się. Potem się mu przyglądnęła. - Bogowie, jak ty wyglądasz! Widziałeś się w ogóle w lustrze?
- Wolę nie, bo mnie coś jeszcze zje - burknął chłopak. - Każdy po kolei mi to będzie mówił?
- O, Rox! - pojawił się nagle Dragon. - Boże, wyglądasz jak...
Umilkł na widok wyciągniętego w jego stronę palca.
- Ani. Słowa. Dziękuję.
- Okej, okej. Musiało być warto.
- Dla niej? Było. - Rox popatrzył na rozchmurzoną Amvidę, zmarszczył groźnie brwi. Królowa wybuchła śmiechem, aż nawet chłopak musiał się uśmiechnąć. - Dobra, zmywamy się. Błogosławieństwo od królowej, te sprawy...
- Chrzanić błogosławieństwo. - Amvida uścisnęła mocno zdumionego Roksa. - Powodzenia. Wracajcie zdrowi.
Wahała się chwilkę, ale przytuliła również i Dragona, położyła dłoń na pysku Lasanwara.
- Do zobaczenia. - Dragon uśmiechnął się, wskoczył na grzbiet Lasanwara zaraz za Roksem. Smok złożył się do skoku.
- Masz lęk wysokości? - zapytał Rox.
- Nie - odparł jego przyjaciel.
- Świetnie! - ucieszył się tamten. - Bo ja mam!
Dragon osłupiał, a Lasanwar wystrzelił w niebo jak z procy. Mistrza Runów momentalnie chwyciły się mdłości. Smok szybko wyrównał lot, choć prędkość była oszałamiająca - wiatr mierzwił im czupryny i powiewał koszulkami. Dragon miał wrażenie, jakby jechał w kabriolecie autostradą. Popatrzył w dół, na rozległe pola i doliny Delluin. Daleko za nimi majaczyło Coronith. Byli wysoko, chłopak miał wrażenie, że może zebrać chmury w rękę. Zadrżał, na tej wysokości było już dosyć chłodno.
Dragon określił momentalnie swój pierwszy lot na smoku jako fenomenalny.
Rox z kolei zaśmiał się, rozkrzyżował ręce i krzyknął radośnie w powietrze. Spójrzcie, ptaki! Przypatrz się, wichrze! Oto lecę wraz z wami!
- Żartowałeś z tym lękiem wysokości, co? - Dragon uśmiechnął się lekko do towarzysza.
- Nie! - odparł Rox, wciąż się śmiejąc. - Nie żartowałem. Tak samo, mam lekką chorobę lokomocyjną. Ale co z tego, skoro to jest takie świetne?! No, sam to powiedz! Przyznaj!
- Aż chce się żyć! - Teraz to Dragon wrzasnął jak opętany. Zachwiał się na grzbiecie Lasanwara, krzyknął panicznie, gdy zaczął się zsuwać. Rox jednak chwycił go za koszulkę i przytrzymał w miejscu.
- Uroki latania bez siodła! Trzymaj się tych kolców na grzbiecie, i tak jak na pierwszy raz idzie ci świetnie! - pochwalił go przyjaciel. Dragon skinął mu głową i dla pewności chwycił za wystający szpikulec, jeden z kilku rozmieszczonych rzadko na grzbiecie smoka. Było ich wystarczająco mało, by można było bez problemu lecieć bez siodła, i wystarczająco dużo, by w razie potrzeby móc się czegoś uchwycić.
Zafascynowany Dragon bez przerwy pytał o coś Roksa. Co to za rzeka, co to za miasto, co tu się działo…? Ten odpowiadał mu bez cienia zniechęcenia bądź irytacji.
Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy Lasanwar upadł z lekkim drżeniem na brukowaną aleję portu. Rox zsunął się z jego grzbietu, Dragon zaraz za nim. Wciąż czuł się lekki jak ptak i przez sekundę musiał łapać równowagę. Jego towarzysz zaśmiał się, widząc to.
- Wiem, świetne uczucie. Miałem podobnie, gdy Carthan pierwszy raz pozwolił mi wsiąść na Iridię - powiedział, rozglądając się. - Chodź, to chyba tamten statek… A niech mnie!
Rozradowany, ruszył żwawo w stronę dużego okrętu. Dragon popatrzył na karawelę, jaką znał z podręczników do historii. Na jego boku wymalowana była nazwa. `Smoczy Kieł`. Rox niemal wbiegł na jej pokład. Dragon, oczywiście, ruszył za nim.
- Pan kapitan Gorg i jego psubraty! - powiedział głośno Rox, podchodząc do rosłego mężczyzny, doglądającego ostatnich prac przed odpłynięciem. - Niech mnie wszyscy diabli, cholernie jestem rad, że was widzę!
- Sir Rox! Kopę lat, stęskniło ci się, co? - Uścisnęli sobie serdecznie ręce. Popatrzył na Dragona - Kto to?
- Mój kamrat. Taka z nas niewielka banda.
- Dragon - przedstawił się. Kapitan oficjalnie podał mu swoje imię. - To z panem będziemy płynąć na Merdawn?
- A jakże! Kiedy tylko usłyszałem, że będzie taka potrzeba, od razu zaproponowałem swój udział. No, panowie, zaproście Lasanwara na pokład i odpływamy. - Gwizdnął na młodego majtka, który zabrał ich rzeczy. Weszli po trapie na pokład, La-

sanwar wylądował na pokładzie kilka sekund później i przywitał się uprzejmie z kapitanem.
Załoga wydawała się być zadowolona, że sir Rox ponownie gości na ich pokładzie. Chłopak też był szczęśliwy, widząc znajome twarze. Już im obiecał, że opowie im przebieg kampanii przeciwko demonom sprzed... Rox zdziwił się, gdy uświadomił sobie, że minął niemal rok odkąd ostatni raz widział tych ludzi.
Gdy odpływali, słońce skryło się już za horyzontem. Obrano kurs i statek powoli ruszył ku Merdawn. Dragon przekonał się, że nie ma też choroby morskiej. Podróż zapowiadała się więc na miesiąc spokojnej drogi przez morze.
Gorg, gdy tylko wyszli z portu, wręczył Roksowi trzy zapieczętowane zwoje. Chłopak skinął mu głową i przełamał pierwszą pieczęć, siadając na schodku prowadzącym na mostek i przysuwając ku sobie lampę oliwną. Wcześniej nie widywał ich w Delluin, musiał to być wynalazek zdobyty na Merdawn.

Rox,
gdy będziesz to czytał, będziesz już na morzu, zmierzając ku Merdawn. Oto Twoje rozkazy: Zrób wszystko co w Twojej mocy, by król Kazadan widział nas w pozytywnym świetle. Stosunki dyplomatyczne to nie Twój kawałek tortu, zdaję sobie z tego sprawę. Po prostu nie zrób nic głupiego. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak nasza technika posunęła się dzięki nim do przodu.
Dalej: Pomóż im. Wiem, że nienawidzisz działań wojennych, ale ta ekspansja to również nasza szansa na lepsze poznanie kontynentu. Powstaną mapy, z nimi - nowe szlaki handlowe. Surowce, towary... To wszystko jest niezmiernie potrzebe naszej gospodarce.
W końcu: Bądź sobą, Rox. Masz nienaturalny talent do zjednywania ze sobą ludzi. Twoje podejście do wszystkiego robi z Ciebie wyjątkowego człowieka, do którego od razu pała się sympatią. Jeśli będziesz rozgrzewał serca mieszkańców Merdawn, być może ogrzejesz też nieco nasze dyplomatyczne stosunki, które jak na razie wciąż są dosyć oziębłe.
Wiem, że nie lubisz tego politycznego bełkotu, a i sama myśl o wypełnianiu rozkazów napełnia Cię gniewem, ale myślę, że będzie Ci przyjemniej widząc przynajnej jakieś sensowne powody, dla których prosimy Cię, byś to zrobił, zamiast tej oficjalnej paplaniny, którą zresztą również powinieneś otrzymać wraz z tą wiadomością. Zresztą, to i tak tylko pretekst do napisania tej wiadomości. Chciałam po przyjacielsku życzyć Ci szczęśliwej podróży i powodzenia w swej - miejmy nadzieję - przygodzie. Żałuję, że nie mogłam pożegnać Cię osobiście, przyjacielu.
Między nami, mało mnie interesują te stosunki dyplomatyczne (nie powtarzaj tych słów nikomu, proszę), ale uważaj na siebie. Cokolwiek miałoby się wydarzyć nie pozwól się skrzywdzić. Dla Elizy. Dla mnie.
Jestem pewna, że również Carthan i Iridia zechcieliby z Tobą porozmawiać. W ich imieniu również życzę Ci powodzenia.
Mam nadzieję, że następnym razem i my Ci potowarzyszymy.
Iariel

Rox uśmiechnął się pod nosem. Miło było choć przeczytać te słowa. Przełamał kolejną pieczęć. Tak, jak wspomniała Iariel, oficjalne rozkazy w utrzymanym formalnym tonie i podpisy Amvidy, Helmerela i Iariel. Cisnął zwój do opartego o burtę Dragona. Ten przeczytał go pobieżnie i popatrzył pytająco na przyjaciela. Rox skinął głową. Dragon zamachnął się i cisnął papier daleko za burtę, gubiąc go w mroku. Obaj zaśmiali się wraz.
Ryzykują, wysyłając ich na nieznany front, powinni więc być świadomi, że ryzyko pochodzi również z ich strony. Nigdy nie przyjmują rozkazów. Od nikogo.
W końcu Rox przełamał ostatnią pieczęć i otworzył zwój. Zapisany był gęsto małymi literami. Magia wspólnego języka, którym władali wszyscy w Delluin, a także przynajmniej część stworzeń na Merdawn powodowała, że Rox bez trudu rozumiał przekaz. Fantastyczna sprawa.
Zwój traktował ogólnie o kontynencie, przynajmniej tyle, ile było o nim wiadomo.

Znani mieszkańcy mówią we wspólnym. Nie wiadomo nic o liczebności i poszczególnych rasach żyjących na Merdawn. Brak jest jakichkolwiek map, więc wielkość i geografia kontynentu nie jest znana. Klimat zbliżony jest do delluinskiego. Panują bardzo ciepłe lata i bardzo chłodne zimy, opady są obfite, lecz występują dosyć rzadko.
Niewiele wiadomo o pobycie ras innych od ludzi. Potwierdzono, że mieszkają tam żyjące smoki. Jest również wiele przekazów i legend. Wiele jest mitycznych stworzeń, jak mantikory i gryfy, choć są ludzie zarzekający się, iż widzieli stworzenia wyglądające niczym ludzie i zwierzęta wraz. Byli to przeważnie podróżnicy, których słowom trudno dać wiarę, jednakże tak podobne relacje z ust osób, które najprawdopodobniej nigdy się nie spotkały zasługują na zainteresowanie.
Technologia jest o wiele bardziej rozwinięta od znanej nam z Delluin. Niektórzy żołnierze na przykład używają broni, która eksploduje z niespotykaną siłą i taką, która pluje stalowymi kulami. W powszechnym użyciu są lampy, które używają łatwopalnej cieczy, przez co świecą dłużej niż pochodnie, a które powoli zdobywają uznanie delluinskiej szlachty i ważnych osobistości. To tylko przykłady, gdyż nie starczyłoby miejsca na rozpisywanie się na ich temat.
Waluta na Merdawn jako i w Delluin to kari, co skłania do przypuszczeń, że korzenie nasze mogą być wspólne. Występuje u nich wiele rzadkich w Delluin surowców, a także kilka nieznanych nam, o bardzo ciekawych właściwościach. Mieszkań-

cy Merdawn potrafią wytwarzać eksplodujący proch i ciecz, rzekomo niewiarygodnie pod tym względem niebezpieczną. Król Kazadan jest człowiekiem młodym, lecz wykształconym, zaznajomionym ze sztuką dyplomacji i wojny. Dba o swoich poddanych i jest wśród nich lubiany, przez co nie waha się zostawić stolicy swego państwa samotnie i stanąć na czele wojsk. Nie ma żony oraz potomków. Jego armia opiewa na trzydzieści tysięcy żołnierzy, lecz jedynie pięć setek z nich uzbrojonych jest w broń, jak sami ją nazywają, `palną`.

Dalej opisana była krótko historia obecnego władcy, a także powody objęcia przez niego tronu po nagłej śmierci poprzedniego króla (którą to sprezentował mu zresztą sam Rox). Nie znalazł więcej nic, co by go interesowało lub choćby miało im pomóc przy wypełnianiu zadania. Podał zwój Dragonowi, który wczytał się weń z uwagą, a sam zszedł do ich wspólnej kajuty, którą kiedyś dzielili z Carthanem. Schował wiadomość od Iariel, położył się na koi i wyciągnął z kieszeni małe zdjęcie, które przedstawiało Elizę. Przyglądał mu się przez chwilę, po czym znów je schował. Pogrążył się w rozmyślaniach o swej ukochanej i nawet sam nie wiedział, kiedy zmorzył go sen.
Obudził się po potężnym uderzeniu w głowę. Jęknął przeciągle, a chwilę potem spadł z koi. Sapnął, po czym Dragon przygwoździł go do drewnianej podłogi swoim ciałem.
- Wybacz, Rox! - jęknął Mistrz Runów.
- Złaź ze mnie! - syknął jego towarzysz. Głowa pulsowała tępym bólem, a spadający z góry Dragon wcale nie poprawił jego samopoczucia. - Co się dzieje?
Statkiem zachwiało, na zewnątrz coś burknęło przeraźliwie. Wstający Dragon stracił równowagę i legł na koi Roksa.
- Sztorm - wyjaśnił, jeszcze raz usiłując wstać. - Swoją drogą, nieźle przydzwoniłeś w tę ścianę. Aż to poczułem.
- Dalej boli - mruknął Rox, wstając powoli, opierając się na ścianie. - Rusz się, Dragon, musimy im pomóc!
Zaraz potem dotarła do niego druga straszliwa myśl. Lasanwar. Nie może odlecieć, bo wiatr go porwie i ciśnie w głębiny, z których się nie wydostanie. A na statku niewiarygodnie ciężko będzie mu się utrzymać. Wystarczy, że rozłoży skrzydła i wicher porwie go z pokładu.
Rzucił się na korytarz wrzeszcząc do Dragona, że będzie potrzebował jego pomocy. Zwrócił się do biegnącego marynarza, że potrzebne mu będą liny, jak najdłuższe.
Fala uderzyła w statek, rzucając Roksem i Dragonem po ścianach. Nie przejęli się tym jednak, wbiegając po schodach na pokład.
- Nie rozumiem, Rox, nie przechodziliście nigdy sztormu? - zapytał Dragon.
- Przechodziliśmy, owszem - przyznał Rox. - Ale nigdy takiego.
Natychmiast uderzyła w nich lodowata ściana wody, zaraz po niej - mroźny wiatr. W ciągu sekund byli przemoczeni do suchej nitki i przemarznięci.
Marynarze krzątali się, usiłując przetrwać żywioł. Rox obrzucił wzrokiem pokład, poszukując złotego kształtu.
Jest! Las ślizgał się po pokładzie z prawa na lewo. Nie mógł złożyć lewego skrzydła, wiatr dmał w nie, napinając cienkie błony do granic możliwości. Smok ryczał straszliwie - z powodu ogromnego bólu i przerażenia.
- Rox! Dragon! - rozległo się wołanie Gorga. - Czego wam trzeba?!
- Lin, kapitanie! - powtórzył wcześniejsze słowa Roksa Dragon. W ciągu trzech sekund poszybowała do niego gruba, zwinięta lina, którą chłopak złapał, założył sobie na ramię i ruszył śladami przyjaciela.
Rox tymczasem ignorował otoczenie, prąc w kierunku Lasanwara. Deszcz wlewał mu się za kołnierz, powodując dreszcze, lecz nie zwracał na to uwagi. Fale rzucały statkiem to w lewo, to w prawo. Marynarze przywiązali się do masztu, kilku woda strąciła już z nóg. Rox wiedział, że ryzykuje, ale nie mógł zostawić przyjaciela na pewną śmierć, a przecież on zrobiłby dokładnie to samo dla niego. Wpatrywał się więc tylko w jedną rzecz. Skrzydło Lasanwara.
Rox dotarł do masztu, którego się chwycił. Statek znowu się zachybotał, a smok, nie zdoławszy mocniej chwycić się pokładu pazurami, znów prześlizgnął się od burty do burty, wystarczająco blisko Roksa. Chłopak zrobił dwa, pewne kroki i rzucił się wprzód. Dopiero w połowie lotu zorientował się, że jeśli nie trafi, źle obliczył moment skoku, cokolwiek, to praktycznie jest już martwy. Fala zmiecie go z pokładu nim zdąży dobrze na niego upaść.
Ale jednak udało mu się. Zdołał chwycić skrzydło Lasanwara, gdy ten gruchnął w burtę. Roksem zatrzęsło porządnie, ale utrzymał się. Przyparł rozpostarte skrzydło całym swoim ciężarem i, wspólnymi siłami, Lasanwarowi udało się mocno przycisnąć je do boku.
- Rox! - rozległ się krzyk Dragona. Lina! Rox chwycił ją i zaczął przewiązywać nią Lasanwara, pętając mocniej jego skrzydła i zarzucając mocne węzły na burcie, kiedy Dragon umocował swój koniec do masztu. Kiedy skończył, uniósł kciuk w górę. Rox odpowiedział tym samym gestem. Przycisnął się mocniej do Lasanwara, trzymając się pewnie liny. Smok i człowiek, obaj dyszeli ciężko. Krew wciąż tętniła w głowie chłopaka, adrenalina przestawała powoli działać. Zachichotał cicho, potem zaczął śmiać się w głos. Pokonałem cię, naturo!, zdawał się tym krzyczeć. Nawet Dragon zdobył się na wesoły grymas.
- Rox... - Lasanwar popatrzył na niego. - Dziękuję.
- No przecież bym cię nie zostawił! - Chłopak wyszczerzył się.
W końcu wiatr zdawał się ustawać, sztorm cichnął w oddali. Statek kołysał się jeszcze na ostatnich falach, a niebo na

wschodzie pojaśniało.
Rox popatrzył na pokład. Lasanwar usiłował zaczepić się pazurami o deski, lecz z jakiegoś powodu, nie udało mu się to w pełni. Widać było multum głębokich bruzd i zadrapań. Marynarze nie byli z tego powodu zadowoleni, ale przecież to wina sztormu. Smok usiłował ratować swoje życie.
Rox podszedł do mostka, gdzie Gorg korygował kurs.
- Kapitanie, jakie straty? - zapytał.
- Bogom dzięki, żadne. Jeden tylko marynarz uderzył się w czerep, gdy zachwiało statkiem, nic poważnego.
Rox momentalnie przypomniał sobie, jak sam trzasnął głową o ścianę kajuty.
- No, jak na pierwszy dzień, to całkiem ciekawie było. - Dragon wyszczerzył się. - Fajnie się zapowiada ta podróż.

Ku rozczarowaniu Dragona, nic więcej nie wydarzyło się podczas rejsu. Był może incydent z piratami (zwiali na widok Roksa) i syrenami (podobnie, wcześniej posyczały), ale nie wydarzyło się nic, co zmuszałoby ich do interwencji.
Po planowanych czterech tygodniach na morzu, w końcu postawili nogę na Merdawn. Pożegnali się z kapitanem i załogą, wskoczyli na grzbiet Lasanwara i ruszyli do miasta.
Dotarli doń po godzinie spokojnego lotu. Irgoth. Rox był tutaj rok temu. Wylądowali na przedzamczu. Tam dowiedzieli się, że król wyruszył z wojskiem dobre dwa miesiące temu i jego człowiek ma spotkać się z nimi w jedym z mniejszych miasteczek po drodze. Rox westchnął przeciągle, obejrzał mapy i wyruszyli w dalszą podróż.
Dotarcie do wyżej wymienionej miejscowości trwało dwa dni. Oszczędnie dysponowali zapasami, toteż wciąż nie musieli się o nie martwić. Na miejscu znów dowiedzieli się, że król jest już tylko o dzień drogi stąd, więc ruszyli czym prędzej w drogę, zabierając ze sobą posłańca.
Lasanwar był wykończony, nie odpoczywali za wiele, choć Rox wielokrotnie proponował mu chwilę przerwy. Smok jednak nie dawał nic po sobie poznać (a przynajmniej próbował), więc w ciągu następnych kilkunastu godzin pokonali o wiele większy dystans niż początkowo planowali. Zdumienie odzianych na niebiesko żołnierzy, widzących ich, było więc wielkie. Z pewnością wielu rozpoznało złotego smoka i jego jeźdźca. Tym bardziej ich to zdziwiło.
Lasanwar wylądował na placyku przed okazałym namiotem, który najprawdopodobniej należał właśnie do króla Kazadana. Dwaj Wybrani zsunęli się z grzbietu smoka, starając się nie uszkodzić leżącego na ziemi posłańca, który spadł ze złotego gada tuż po lądowaniu. Mężczyzna wstał i otrzepał się.. po czym zaraz znów padł niemalże na twarz, gdy z namiotu wyłonił się wysoki, postawny mężczyzna. Miał kręcone, krótkie, czarne włosy i niebieskie oczy, na twarzy widniał zarost. Ubrany był w drogie szaty, przykryte jednak błyszczącą zbroją, a także przypiętą do niej czerwoną, z pewnością niewiarygodnie drogą, królewską pelerynę. Zadziwiony Rox spostrzegł, że nie przeszkadza mu to wcale przy poruszaniu się, za to zdumiał go fakt, że gość jeszcze się w tym nie ugotował. Jego skóra miała ciemną karnację i gdyby dwóch przyjaciół było teraz w swoim świecie, bez wahania stwierdziliby, że król Kazadan to Arab z miłą, wręcz niepasującą do jego funkcji twarzą.
Wyprostowali się wraz, gdy wszyscy wokół nich zaczęli przyklękiwać przed władcą. Dragon i Rox jednak nie schylili nawet głów, nieporuszeni. Rox spodziewał się grymasu zdziwienia i nawet odrazy, ale zamiast tego Kazadan uśmiechnął się ponuro.
- Rox, Dragon oraz Lasanwar - rzekł. - Królowa Amvida ostrzegała mnie, bym nie zwracał zanadto uwagi na wasze maniery. Tak też zrobię. Witajcie!
- Miło nam, Wasza Wysokość - powiedział spokojnie Rox. Dragon zerknął na niego kątem oka. Przyjaciel Mistrza Runów nie lubił tych tytułów. Ciekawe, ile zajmie mu przejście z władcą na `ty`? - Choć nie powiem, że jesteśmy z tego nadto zadowoleni. Zostawiliśmy w naszych domach swe ukochane, a co będziemy mieli w zamian prócz wdzięczności Amvidy? Z pewnością niewiele.
Kazadan wpatrywał się w spokojne, lodowate oczy Roksa.
- Zachowaj swoje opinie dla siebie - rzekł chłodno król. - Każdego innego kazałbym już wychłostać.
- Myślisz, że by ci się to udało? - Dragon rozłożył szeroko ręce, grając według zasad przyjaciela. - Amvida świetnie zdawała sobie sprawę z ryzyka, które podjęła, wysyłając nas tu. Chce, byśmy poprawili nasze stosunki dyplomatyczne, lecz cóż... Nie jesteśmy dyplomatami. Jesteśmy wojownikami! Przed tobą stoi zamawiane wsparcie militarne! Dwóch dzieciaków i jeden smok!
- Zamknęlibyście się łaskawie, co? - mruknął Lasanwar. - Nie mam ochoty skończyć z łbem na pieńku, a niezbyt mam sił, żeby wiać.
- Wsparcie militarne? Amvida chyba sobie żartuje! - wybuchnął nagle Kazadan. - Jesteście bandą bezczelnych gówniarzy, którzy za nic mają sobie rozkazy swej królowej i mężczyzny, któremu nadała prawo dysponowania wami...!
- Mylisz się - przerwał mu Rox. - Dlatego zacząłem od razu od tej kwestii. Amvida nie jest naszą królową. Ani ona, ani ty nie macie nad nami żadnej władzy. Jesteśmy tu, bo nas o to poprosiła. My to ludzie - i smok - którzy przed nikim nie gną karku. Najpotężniejsi wojownicy Delluin. - Położył rękę na rękojeści miecza. - Chcesz to sprawdzić?
Kazadan wpatrywał się w nich przez pewną chwilę, potem nagle wybuchł śmiechem.
- Już rozumiem! - wykrzyknął. - Mówicie ostre słowa, nie zważając na krytykę. To oznacza, że jesteście albo niezmiernie głu-

pi, albo potężni. Nie boicie się konsekwencji waszego zachowania. Ale mimo to wpatrujecie się we mnie ze śmiejącymi się oczami. Nie jesteście mi wrodzy. Jesteście inni, spoza tych wszelkich naszych rang i gier.
Rox podszedł do króla. Wyciągnął ku niemu rękę.
- Jesteśmy tu, by pomóc, Kazadanie. Ale nie, jako podwładni, lecz przyjaciele. Tylko jako przyjaciele.
Rox podsumował to sobie w myślach. Rewolta, wystąpienie spod władzy dwóch władców wraz, śmiałe słowa, kumplowanie się z królem, podważanie jego autorytetu... No, bez dwóch zdań już by go ścięli. Już czuł ten opieprz, który dostanie od Amvidy. Żeby mu się tylko powiodło... Wtedy im pokaże.
Kazadan uścisnął jego dłoń.
- Niech więc wam będzie, Wojownicy Obu Światów - rzekł, całkowicie zaskakując tym całą trójkę przybyłych z Delluin. Amvida musiała go ostrzec przed ich teatrzykiem. No, trudno.
- Jaka jest sytuacja? - zapytał Dragon.
- Spokojnie - powiedział król. - Lasanwar jest wykończony podróżą, z pewnością wszyscy jesteście głodni. Nie ma nic, co nie poczeka na nas przez parę godzin.
Dragon zerknął na Roksa, Rox na Dragona... Zgodzili się bezgłośnie.

Armia przygotowywała się do wkroczenia do lasu, w którym jeszcze rok temu mieszkał Lasanwar.
Problemem był fakt, że nikt, kto usiłował przez niego przejść, nie wracał. Tak też było z kilkoma zwiadowcami, wysłanymi przez króla. Nie wiadomo było, co się z nimi działo. Mogły to być na ten przykład smoki, z których terenem przecinała się obrana przez ludzi ścieżka, a może to było jakieś zupełnie inne zagrożenie, którego nigdy wcześniej nie widzieli na oczy. Tak czy siak, ktoś musiał ruszyć przodem i przygotować dla armii przejście, ktoś wystarczająco silny, by nie dał się zabić, ale też wystarczająco przemyślny, by zdołać obejść się i bez walki.
Kolejną kwestią, jaką poruszyli, był fakt dotarcia do kolejnych miast i fortyfikacji. Tutaj jednak Kazadan okazał się wyjątkowo bezduszny i zdecydowany. Ekspansja to ekspansja. Za wojskiem ciągnęli wieśniacy, gotowi obstawiać kolejne wsie i miasta. Jeśli pojawiłby się najmniejszy opór ze strony najechanych, mieli zostać eksterminowani.
Gdy to usłyszeli, Rox i Dragon wdali się w dysputę z królem. Gdzie negocjacje, rozmowy dyplomatyczne, choćby hołd lenny? W końcu wybicie ludności miasta do zera to po prostu najgorsza z możliwych opcji, to ucięcie możliwych stosunków dyplomatycznych przed ich rozpoczęciem! Nawet fakt, że w końcu takie przedsięwzięcie sprowadzi opór, również we własnej armii, że mogłoby dojść do rozłamu i masowej dezercji, że w końcu trafiliby na silniejszych od siebie... Nic to nie dało. Gadaj do ręki, ucho nie słucha. Przyjaciele więc mogli tylko bezradnie zacisnąć pięści.
Acz jedno trzeba było Kazadanowi przyznać. Jego armia była liczna, zgrana i potężna. Rox nie widział takiego wojska nawet podczas bitew z Alhildem, a walka z demonami w grudniu to pospolite ruszenie, za broń chwytali wszyscy, nie tylko żołnierze.
Pozostawała tylko kwestia zwiadowcy.
- Ja pojadę - powiedział Rox. - Sam. Dam sobie radę.
Dragon rozumiał jego sposób myślenia - jeśli napotka miasto, będzie mógł na spokojnie je ostrzec - ale nie podobał mu się ten pomysł, wcale a wcale. Sam Rox, bez przyjaciół lub kogoś, kto obstawiałby mu plecy... To się źle skończy. Nie omieszkał powiedzieć przyjacielowi o swoich wątpliwościach, już dużo później zresztą, lecz Rox nie dał się przekonać, co było całkiem w jego stylu. Lasanwar był jeszcze mniej zadowolony z pomysłu swego towarzysza, lecz i on nic nie wskórał. Nie wiadomo, czy chłopak robił to z powinności czy też głupiej żądzy przygód, lecz nie dał się od tego odwieść. Król dał mu więc konia, do którego Rox przytroczył swój ekwipunek. Popatrzył na Dragona.
- Powodzenia, przyjacielu - rzekł Mistrz Runów, podając mu prawicę, którą też Rox uścisnął.
- Wiesz, jak mnie znaleźć - odparł mu na to tajemniczo. Z perspektywy czasu Dragon musiał mu przyznać, że zachował się jak niezłe medium.
Rox pożegnał się z Lasanwarem, wskoczył na siodło i odjechał.
- No, to tyle go widzieliśmy - mruknął smok.
- Nie bredź. Da sobie radę - odparł Mistrz Runów. Uśmiechnął się lekko. - No, to teraz my sobie tu trochę porządzimy.
- Z pewnością - mruknął znowu Lasanwar. - Smok i facet z mianem smoka. Myślisz, że co ja tu mogę zrobić? Robię wam za transport i tanią siłę roboczą, rzadziej za maszynkę do mielenia mięsa, ludzkiego czy też nie...
Dragon podszedł do smoka i trzepnął go w łeb.
- Nawet nie wiesz, jak się mylisz - powiedział spokojnie. - Rox nie byłby ucieszony z twoich słów. Smok smoka musi wspomagać, nie? Wkręcimy się w coś.
Rox tymczasem kalkulował sobie wszystko, jadąc spokojnie. Żeby przekroczyć granicę drzew będzie potrzebował dobrych killku dni. Musiał oszczędzać żywność i pod żadnym pozorem nie powinien rzucać się komukolwiek w oczy.
Suszonej żywności starczy mu na kilka dni, jeśli będzie ją rozdysponowywał na spokojnie. Póki czegoś nie upoluje, póty nie naje się do syta.
Po godzinie jazdy kłusem dotarł do granicy drzew. Bez żadnego oporu wjechał w cień, gdzieniegdzie przeplatany przebi-

jającym się przez liście słońcem. Było cicho i przyjemnie, towarzyszył mu tylko gwar leśnych stworzeń i zapach ściółki. Rox popatrzył na kompas. Zmierzał na północ, północny wschód. W porządku. Niech tak zostanie.
- No, koniku... - Rox klepnął zwierzaka w szyję. Na imię miał Czarny Płomień, jak zdążył się dowiedzieć przed wyjazdem. - Nacieszmy się tymi spokojnymi chwilami. Mogą wkrótce się nie powtórzyć.
Rumak prychnął, jakby się z nim zgadzał. Rox uśmiechnął się.
Podróż mijała spokojnie. Rox zasypiał wraz z zachodem słońca, a budził równo ze wschodem, kontynuując tułaczkę. Kilkakrotnie zatrzymywał się przy strumieniu, dając wierzchowcowi chwilę przerwy i okazję do napojenia się, sam też zawsze uzupełniał płyny. Las wydawał się ciągnąć w nieskończoność, lecz w końcu wyszedł. Zajęło mu to dziesięć dni. Dziesięć długich, nudnych dni, nim w końcu przekroczył granicę lasu. Ba, w dodatku wciąż żył i miał się dobrze!
Jego oczom ukazały się trawiaste pagórki, a także trakt, biegnący na wschód, daleko przed nim. Rox zdawał sobie sprawę, że najbardziej prawdopodobny scenariusz to ten, w którym Kazadan i jego armia podążą właśnie w tamtym kierunku, ruszył więc tam kłusem.
Przez kilka godzin jechał traktem, nie napotykając żywej duszy czy nawet jakiejś samotnej farmy. Nic. W końcu dojechał do szerokiej i głębokiej przepaści. Na drugą stronę prowadził jeden, mizernie wyglądający, wąski mostek. Chwiał się przy najlżejszym powiewie wiatru. Deski wyglądały na stare, były nieregularnie poukładane, z wieloma szczelinami pomiędzy. Ot, mostek dla szaleńców. Ktoś chyba chce go zniechęcić. Jeśli tak, to idzie mu to doskonale, bowiem Rox zbladł i przez chwilę wpatrywał się w tę zabójczą pułapkę. Czarny Płomień chyba uważał tak samo, bowiem prychnął z przestrachem i zaczął się cofać.
- O, nie, nie, nie, przyjacielu! - Rox cmoknął na niego kilka razy. - Przejdziemy przez to. Razem. Mam nadzieję...
Zszedł z siodła. Pochylił się nad traktem. Na dobrą sprawę, to nie dostrzegł żadnych śladów. Popatrzył za siebie. Droga pokryta była miękka, przez co zostawiał wyraźne ślady. Tędy dawno nikt nie chodził.
Z drugiej strony, musiał przejść na drugą stronę. Wojsko da sobie radę, ma inżynierów, ale on nie może na nich czekać.
- Chodź. Zaryzykujemy - mruknął do wierzchowca, ciągnąc go za wodze. Ten jednak ani myślał się ruszyć. - Słuchaj, mi też się to nie podoba, ryzykuję tyleż, co i ty i bardzo cię proszę, jako przyjaciel, chodź! - Pociągnął mocniej za wodze. Czarny Płomień wyglądał, jakby chciał mu powiedzieć: `Chcesz umierać? Umieraj sam!`, ale jednak ruszył za Roksem.
Ten postawił pierwszy, niepewny krok na początkową kładkę. Nic się nie stało. Drewno wytrzymało, most nawet za bardzo nie zaczął się chwiać. Nawet pod ciężarem konia wciąż się trzymał. Uspokojony nieco Rox kontynuował mozolną wędrówkę na drugą stronę.
Gdy byli mniej-więcej w połowie, po obu stronach pojawili się nagle odziani w czarne płaszcze osobnicy. Rox patrzył na nich, przerażony. Wyciągnęli noże. Był już pewien, co chcą zrobić.
- Hej! Spokojnie! - wykrzyknął. - Zapłacę! Mam pieniądze, dużo pieniędzy, tylko...
Na nic mu się to nie zdało. Jakkolwiek by chciał, nic nie zdołałby wskórać. Nacięte liny trzasnęły nieprzyjemnie, zrzucając Roksa i Czarnego Płomienia w czeluść przepaści.
Rox miał w tym momencie wiele myśli: kim byli, skąd się wzieli, dlaczego go zabili, w końcu, co go czeka, lecz nie wiedział, która była jego ostatnią.
W końcu ogarnął go chłód i ciemność. Nie pamiętał, czy krzyczał, ale świadomość stracił błyskawicznie.

Głowa Roksa pulsowała tępym bólem. Słyszał wrzaski, ale nie potrafił nic z nich zrozumieć. W głowie mu szumiało. Był niewiarygodnie słaby, lecz zdołał otworzyć oczy. Był w jakiejś obszernej hali. Dwie osoby krążyły w pobliżu, jedna wpatrywała się w niego i chyba coś mówiła, ale nie zrozumiał słowa. Ktoś za nią krzyknął coś do niej. Tamten w ręce trzymał wąski miecz, drugą wymachiwał chaotycznie.
- ...musimy go stąd zabrać! - usłyszał w końcu. Rozległ się huk, Rox dostrzegł masę drzazg. Więcej nie zapamiętał, ponownie tracąc przytomność.
Nawet nie był w stanie zwrócić uwagi na to, że tamci byli cali pokryci sierścią, mieli ogony i kocie uszy.
Gdy znów się ocknął, tym razem już czując się o wiele lepiej, był spętany. Usiłował się ruszyć, zadzwoniły łańcuchy, na których wisiał. Jęknął przeciągle, czując nagły atak bólu. Otworzył oczy.
Był w lochu - do tego zdołał dojść już wcześniej - a przed nim stało kilka postaci. Dwie osoby wpatrywały się w niego badawczo, dwie kolejne, odziane w zbroje, pilnowały drzwi. Jedna, zapewne również więzień, kuliła się w kącie. Wszyscy byli pokryci sierścią. Rox zdumiał się tylko przez chwilę.
Koty? Kotowaci? Jak ich nazywać? Dlaczego go więżą?
- W końcu się obudziłeś, człowieku.
Te dwie, które się w niego wpatrywały, to kobiety! Rox zdał sobie też sprawę, że magia wspólnego języka działała także na nie. To dobrze, zdołają się dogadać.
- Ano - zgodził się Rox. - Obudziłem się. Choć muszę przyznać, że spało mi się tragicznie! Hotel to nie jest.
Grał śmiało i ryzykownie. Miał wyglądać na pewnego siebie i zarozumiałego. Tak naprawdę, obawiał się. Nie miał swej broni. Czy stracił ją, gdy spadł z urwiska, czy też została mu odebrana? Miał nadzieję, że to drugie. W innym wypadku już ni-

gdy jej nie zobaczy, a on cenił swe narzędzia.
- Bardzo jesteś zabawny, człowieku. - Kocica uśmiechnęła się krzywo. - Kim jesteś i kto cię tu przysłał?
- Powinienem zapytać, kim jesteście wy - odparł chłopak. - Nigdy nie widziałem waszej rasy na oczy. Nazywacie się jakoś szczególnie?
Mocny cios tej drugiej w brzuch sprawił, że człowiek jęknął głucho.
- Tacy, jak ty, nazywają nas po prostu kotami, jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć. - Przepytująca go kobieta pochyliła się, jej twarz nieomal stykała się z jego własną. Czuł jej gorący oddech. - Powiedz mi, kim jesteś? Odpowiadaj na pytania, a nie będziemy cię męczyć. Umrzesz szybko i bezboleśnie.
- Ach, to tak! - Rox zaśmiał się. - Skoro chcesz wiedzieć... Jestem człowiekiem z Nie-Twój-Zasrany-Interes.
Wyszczerzył się i oczekiwał na cios. Oberwał w twarz. Pękła mu warga, ale poza tym nic więcej mu nie było.
- Powiedz mi, jak masz na imię? - zapytał oprawczyni, patrząc jej prosto w oczy. - No, dalej! Mam umrzeć! Co ci szkodzi?
- Jestem Iwami - przedstawiła się. - Głównodowodząca Straży Królewskiej.
- Miło mi cię poznać. - Rox uśmiechnął się. Teraz już nie musiał grać. Był pewny swego. - Boisz się mnie, Iwami. Dlatego, że jestem człowiekiem, chociaż przecież nawet nie wiesz, do czego jestem zdolny. Kim więc są dla was ludzie? Diabłami? Demonami? Bo że potworami, to jestem w stanie przyznać... Przynajmniej w pewnym sensie. Ale wasz strach leży gdzieś jeszcze głębiej... Czuję się niczym postać z historyjek dla niegrzecznych dzieci. Nie pomyliłem się, prawda?
- Zamilknij, człowieku! - warknęła na niego Iwami. Uderzyła go w twarz, rozcinając brew. Oddychała ciężko, widać było, że jest wściekła. - Nie mam ochoty gadać z tobą, z przedstawicielem rasy wyrodnych morderców! Elun! - Ta druga, stojąca obok niej, wyprostowała się na baczność. - Przynieś jego broń. Porozmawiamy sobie o niej, nędzniku.
Broń! Gdyby mógł, Rox wyprężyłby się. Jest dobrze! Jest wręcz świetnie! Jeśli mają jego broń, będzie żył. Pół biedy z resztą ekwipunku - jeśli się odnalazła, tym lepiej - lecz bez oręża nic by nie wskórał. Gdyby się zastanowić... Chyba jego nóż wciąż tkwił w pochwie ukrytej pod spodniami na prawym podudziu. Doskonale.
Pojawił się kolejny strażnik, trzymając jego pas z bronią. Wyglądał na dzieciaka. Rox uniósł brwi, pełen złych przeczuć.
- Bardzo nas zastanawia na przykład, czym jest to... - Iwami szturchnęła palcem kolbę jego pistoletu. Rox popatrzył na nią sceptycznie. Dzieciak wyciągnął broń z kabury. - Mów, człowieku! Jak to działa?!
- Nie powinniście dotykać tych zabawek. Możecie się poparzyć. - Rox uśmiechnął się krzywo. - Naprawdę.
Strażnik nie zwracał na niego uwagi. Bawił się jakimiś przełącznikami.
- Nie robiłbym tego na twoim miejscu. - Rox zmarszczył brwi. Iwami wydawała się zadowolona z jego reakcji.
Chłopak tymczasem zerknął w lufę, jego dłonie wciąż krążyły po broni... Rox wytrzeszczył oczy z przerażeniem.
- NIE! - wrzasnął. Za późno, rozległ się huk, trysnął strumień krwi i kawałki mózgu, a martwy dzieciak osunął się na podłogę. Człowiek wpatrywał się w tę scenę z wypisanym na twarzy szokiem. Elun już pochylała się, żeby podnieść zakrwawioną broń. - Nie dotykaj tego, do cholery! - ryknął Rox. Nie dość, że tamten palnął sobie w łeb, to jeszcze stracił pocisk. Cenny.
Kocica jednak nie przejęła się nim, włożyła broń z powrotem do kabury. Iwami popatrzyła na wściekłego chłopaka, z którego jednak złość już powoli uchodziła.
- Powinno być ci wstyd za siebie - syknął człowiek. - Nie posłuchałaś mnie. Przez ciebie nie żyje, to tylko i jedynie twoja wina!
- Stul pysk! - Znów uderzenie w twarz. - To twoja broń! Gdybyś mówił, jak ci kazaliśmy, on wciąż by żył!
- I myślisz, że co ci to da, Iwami, co?! Że będę współpracował?! - wydarł się Rox. - Przestań śnić, kocico! Nawet z więźniami trzeba umieć się obchodzić! Twoje zapatrzenie się w siebie doprowadziły do jego śmierci! Jeśli chcesz, możesz powtórzyć jego wyczyn, wcale mnie to nie ruszy!
Iwami uderzyła go, rozcinając mu brew, potem wpatrywała się w niego przez chwilę z wściekłością w oczach.
- Porozmawiamy sobie jeszcze, człowieku. Trzy dni bez wody i żywności skutecznie cię zmiękczą. Straże!
Wyszła, wraz z towarzyszącą jej wojowniczką i dwoma strażnikami, którzy wyciągnęli za sobą ciało młodzika. Rox zwisł bezwładnie na łańcuchach, zbierając myśli. Rozejrzał się spokojnie. Kocica - bo to była kobieta - wciąż leżała w kącie, trzęsąc się, z pewnością z przerażenia. No, TO dopiero można było nazwać strachem na jego widok.
- Hej! - syknął Rox. - Hej, ty!
Kocica zerknęła na niego z przerażeniem w oczach. No, skwitował się Rox w myślach, mógłbyś zaczepić ją uprzejmiej, bracie. Westchnął.
- Wyglądam koszmarnie, co? - zapytał. - Powiedz mi, proszę. Naprawdę, źle ze mną? Jak wyglądam?
- T... tragicznie - potaknęła kocica. Rox zachichotał. Taak, czuł każdy mięsień na twarzy.
- Jak masz na imię? - zapytał znowu. - W końcu mają mnie zabić, chyba to nie jest jakaś wielka tajemnica?
- Zaki - wyszeptała.
- Zawsześ taka gadatliwa? - Rox skrzywił się lekko. Poruszył się, łańcuchy szczęknęły. Sprawdzał swój zakres ruchów. Wystarczający.
- Jestem Rox. Przyjaciele mi tak mówią, to chyba i ty możesz.
- Dlaczego... dlaczego mi to mówisz, a im nie? - zdziwiła się. Wyglądała, jakby przerażenie zaczynało z niej uchodzić. To do-

brze. Rox źle się czuł z myślą, że przeraża kogoś przez sam fakt swojego bycia.
- Wieję stąd - powiedział po prostu. - Ale sam tu nie przeżyję. Potrzebny mi ktoś, kto dobrze zna to miasto. Czy zechcesz mi pomóc, Zaki?
- A jeśli się nie zgodzę?
- Zrobisz, co zechcesz. - Rox spróbował wzruszyć ramionami, ale miernie mu to wyszło. - Drzwi zostawiam otwarte.
- Kłamiesz! - syknęła. - Nigdy nie wypuściłbyś mnie żywej!
- Niby dlaczego tak uważasz? - Rox zmarszczył groźnie czoło. - Nie jesteś moim wrogiem. Jeszcze. A i tak musiałabyś mi niewiarygodnie zagrażać z jakichś błahych lub egoistycznych pobudek, bym chciał cię zabić, Zaki. Naprawdę potrzebuję pomocy, ale jeśli się nie zgadzasz, w porządku. Znajdę kogoś innego.
Rox strzelił palcami. Kajdany pękły z ogłuszającym trzaskiem, uwalniając go. W ten sam sposób zniszczył łańcuchy na nogach.
- Decyduj się szybko - syknął Rox, rozcierając obolałe nadgarstki.
Drzwi otworzyły się z łoskotem, do środka wpadło dwóch strażników, jeden z dużym mieczem, a drugi z halabardą. Rox przygotował się. Będą chcieli go zabić, bez dwóch zdań. Który pierwszy...?
Halabardnik, z definicji - odpowiedział sobie natychmiast. Atakuje szybciej. Strażnik dźgnął go - przynajmniej próbował. Chłopak ominął sprawnie głownię broni, drzewiec wylądował pod jego ramieniem. Chwycił go i pchnął, wbijając drewno w brzuch strażnika. Drugi już zamachiwał się mieczem. Rox uniknął ataku, chwycił mocniej halabardę i uderzył drzewcem w bok jego głowy, oszałamiając go. Natychmiast też wrócił do poprzedniego. Założył mu drzewiec na kark i pociągnął go mocno w dół, na swoje kolano. Drewno trzasnęło, pękając wpół, strażnik upadł, nieprzytomny, lecz z pewnością żywy. Pozostał miecznik, który atakował go teraz od góry zza pleców. Rox cofnął się, wbijając się w niego i uciekając tym samym przed klingą. Chłopak chwycił uzbrojoną rękę napastnika i przerzucił go przez ramię. Rozległ się nieprzyjemny trzask, gdy człowiek złamał strażnikowi rękę. Rox podniósł jego miecz. To nie był konkretnie jego typ broni - wolał swoją katanę - ale na kolejne kilkanaście minut powinien się nadać. Zerknął jeszcze na Zaki.
- Zdecydowałaś się? - zapytał. Kocica wyglądała na przerażoną, ale odważnie uniosła głowę.
- Nie idę. Nie będę pomagać rasie morderców!
Rox zachował kamienną twarz, chociaż wewnątrz zaczynał wrzeć.
- A więc powodzenia. Nie daj im się znowu złapać - powiedział, a potem wyszedł, nie oglądając się za siebie.
Broń. Musi znaleźć swoją broń, bez tego ma nikłe szanse. I to szybko, bo ci kretyni wystrzelają całą jego amunicję, jeszcze się wyzabijają, jak ten wcześniej. Nawet jeśli będzie musiał przebić się przez cały garnizon, musi odzyskać swój oręż.
Rozejrzał się. Po obu stronach korytarza ciągnęły się cele. Nie wiedział, która strona prowadziła do wyjścia, wybrał więc lewą odnogę. Przeszedł kilkanaście metrów, kiedy usłyszał głos.
- Rox! - To Zaki, wyszła z celi i patrzyła na niego. - W drugą stronę!
Chłopak zawrócił więc i potruchtał we wskazanym kierunku, a kocica dołączyła do niego.
- Zmieniłaś zdanie? - zapytał. W jego głosie nie zabrzmiała nawet nutka zdziwienia.
- Powiedzmy, że większe szanse przeżycia mamy razem.
- Mówi to ktoś przyrównujący mnie do morderców? Tamci też żyją, choć jeden ryczy, a drugi będzie miał sporego guza.
- I to mnie właśnie zdumiało. Dlaczego ich nie zabiłeś? Dlaczego nie zabiłeś mnie?
- A powinienem? - Rox zerknął na nią kątem oka. - Zabiłem wystarczająco ludzi i z pewnością zabiję jeszcze nie raz. Oni tylko wykonują rozkazy.
Dotarli do schodów. Rox poszedł pierwszy, gotowy do odparcia ewentualnego ataku, żaden jednak nie nadszedł.
- Jaki masz plan? - zapytała Zaki.
- Muszę odzyskać broń. Dalej będę improwizował.
Kocica milczała przez chwilę.
- Wiesz, że najprawdopodobniej ma ją Iwami?
- Szefowa? - Rox uśmiechnął się wrednie. - Więc przyjdziemy i o nią poprosimy. Już nie mam kajdan, Zaki. Nie dam się bić, już nie. Umiesz walczyć?
- Dość dobrze. Mieczem.
Rox dał jej więc trzymaną przez siebie broń. Zaki popatrzyła na niego, zdziwiona, chcąc zaprotestować, jednak chłopak położył palec na jej ustach, uciszając ją nim cokolwiek powiedziała.
- Wszystko jest bronią, lecz broń nie jest wszystkim - wyjaśnił nauką Eangela. - Chodź.
Pchnął drzwi, które zaskrzypiały przeraźliwie. Trzej strażnicy już przy nich stali, gotowi atakować. Wszyscy mieli miecze. Rox przymknął oczy na sekundę. No, Eang. Zobaczymy, ile wart był ten twój morderczy trening.
Wszystko jest bronią...
Strażnik ruszył na niego. Rox wycofał się i zamknął drzwi. Napastnik otwierał je, wtedy chłopak kopnął je z całej siły. Drewno roztrzaskało się na tysiące kawałeczków, eliminując tym samym strażnika.
...lecz broń nie jest wszystkim.

Wybrany ruszył błyskawicznie do przodu przez chmurę odłamków, odpychając w bok nieprzytomnego już strażnika. Lekkim ruchem ręki w powietrzu odrzucił w bok miecz kolejnego. Wbił stopę w bok jego kolana, krusząc kość. Uciszył jego wrzask krótkim uderzeniem w bok głowy. Ostatniemu wbił prawy łokieć w żołądek i dobił mocarnym ciosem lewej pięści w twarz. Jeśli to go nie pozbawiło przytomności, to uderzenie głową w podłogę z niemiłosiernym hukiem już z pewnością.
- Zostawisz coś dla mnie? - mruknęła Zaki, ze zdumieniem patrząc na dziejącą się przez kilka sekund batalię.
- Wolałbym nie - odparł, podnosząc miecz. Obrzucił spojrzeniem kocicę, po prawdzie, to po raz pierwszy. W lochu było zbyt ciemno, by móc ją dobrze opisać.
Była średnio wysoka w porównaniu do ludzkiej kobiety. Miała szarą sierść i brązowe oczy, jej twarz łączyła sobie cechy ludzkie i zwierzęce, ale nie potrafił dokładniej stwierdzić, jakie są podobieństwa i różnice. Jej kocie uszy sterczały, ogon kołysał się w rytm bicia jej serca. Jej ubrania były koloru grafitu i widać było, że wiele w nich przeszła.
- Przestań się tak na mnie patrzyć - powiedziała z odrobinę drżącym głosem. - Przerażasz mnie.
- Przepraszam. - Rox spuścił wzrok. - Nigdy wcześniej nie widziałem nikogo z twojego gatunku, w każdym razie nie miałem okazji, by mu się przyglądnąć. Nie zrobię ci przecież krzywdy.
Coś w jej wzroku powiedziało mu, że mu nie uwierzyła.
- Kwatera Iwami jest tam - stwierdziła kocica, prowadząc go. Ruszył więc za nią.
Wypadła na nich większa grupa strażników, zaskakując ich. Miecznik zaatakował Zaki, która musiała blokować, co przeciwnik wykorzystał i pchnął ją mocno. Kocica wywróciła się, miecz wypadł z jej ręki. Rox przeklął. Było ich siedmiu, uzbrojonych w halabardy i miecze. Zaraz z całą pewnością zabiją Zaki. Nie ma nikogo, kto kryłby jego plecy.
Teraz to on miał kryć Zaki. Nie mógł opuścić jedynej przyjaznej - choć wciąż przerażonej przez niego - osoby w tym cholernym miejscu.
Nie zwrócił więc uwagi na trzech strażników za jego plecami, rzucił się do przodu. Magicznie uderzył strażnika w brzuch, wytrącił miecz z jego ręki. Był pewien, że ten gość już nie wstanie. Złapał jego miecz do wolnej ręki, stanął w rozkroku nad przerażoną, pewną swej śmierci Zaki. Rozkrzyżował ręce, wyciągając miecze w strony otaczających ich strażników.
- Nie skrzywdzicie jej! - warknął. - Nie pozwolę!
Popatrzyła na niego, dostrzegając pełne determinacji spojrzenie. Jego oczy...
Jakkolwiek mogła bać się, że zechce ją skrzywdzić, jego oczy wrzeszczały, że jest inaczej.
Rox... Co to w ogóle za imię?
Rox tymczasem wpatrywał się w przeciwników. Miał problem, gdy patrzył na jednych, drudzy mogli zaatakować go od pleców. Wspomagał się mieczami, używając ich jako luster, ale i tak jego sytuacja była bardziej niż tragiczna. Zaki była jeszcze w szoku, więc nie liczył za bardzo na jej pomoc. Zresztą, zmiana obecnej pozycji wiązałaby się z natychmiastowym atakiem, a kiedy on zająłby się jedną stroną, druga zlikwidowałaby Zaki.
Kiedy udało mu się wpakować w taką beznadziejną sytuację?
Strażnicy obawiali się go. Broń drżała lekko w ich rękach. Widzieli, do czego był zdolny, czekali na jego błąd. Ale Rox nie mógł pozwolić sobie na błąd. Po prostu nie mógł! Myśl, chłopie, myśl!
Czterej miecznicy i dwaj halabardnicy. Jak oni działają? Na kimś trzeba się skupić.
Jeśli ominie głownię halabardy, strażnik będzie wobec niego bezbronny. Pozostaje kwestia mieczników... No i Zaki. Zaatakują ją. Żałował, że nie mógł porozumieć się z nią mentalnie. Chyba szok jej minął, przynajmniej wystarczająco, by mogła się ruszyć z miejsca.
- Potrzebuję pleców, kotku - szepnął, pewny, że kocica usłyszy i zrozumie jego intencje. Po prawdzie, to gdyby nie wiszące nad nią widmo śmierci, nawet nie cackałby się z tą szóstką, jakoś by sobie poradził.
Miecze są jednosieczne. Przynajmniej tyle z podobieństw do jego katany.
Rozluźnił dłoń.
Miecz pomknął w dół, wprost w dłoń Zaki. Rox ruszył w swoje prawo, ominął obrotem głownię halabardy i uderzył rękojeścią miecza strażnika w skroń, eliminując go z walki. Kopnięciem wybił miecz z ręki kolejnego przeciwnika, chlasnął go potężnie przez tors tępą stroną miecza. Ten upadł bez zamiaru podniesienia się. Ostatni z jego trójki ciął mieczem, a Rox sparował atak, odbił go, wolną ręką chwycił go za głowę i huknął o swoje kolano. Zerknął na Zaki, która już poradziła sobie ze wszystkimi strażnikami. Rox popatrzył na leżących.
- Nie żyją? - zapytał.
- …żyją. - Zaki przymknęła lekko oczy, miecz w jej rękach zadygotał. Uchodziła z niej adrenalina. - Chyba coś we mnie pękło. Przez ciebie. Normalnie nigdy bym się nie zawahała.
Rox podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. Popatrzyła na niego, pytająco. Uśmiechnął się. Czyżby jej strach wyparował?
- Dobrze zrobiłaś - powiedział cicho. - Prowadź. Muszę odzyskać moją broń.
Ruszyła biegiem, Rox za nią. Obyło się bez większych niespodzianek, aż w końcu kocica bez słowa wskazała drewniane drzwi.
- Tam jest Iwami i ta jej oficerka, czy kto to tam jest… Obejdzie się bez zabójstwa. - Rox przymknął lekko powieki, układa-

jąc w głowie plan. - Mam nadzieję, że umiesz szybko biegać.
- O to się nie martw - odparła, chwytając mocniej miecz. Uśmiechnął się. Chyba faktycznie zachowuje się przy nim nieco luźniej. To dobrze. Potrzebny mu sojusznik, przy odrobinie szczęścia - przyjaciel.
Rox wkopał drzwi do środka komnaty, Zaki wbiegła przed nim, podstawiając miecz pod gardło zdumionej Elun, Rox wskoczył tuż za nią. Przycisnął zaskoczoną szefową straży mocno do ściany, niemal pozbawiając ją tchu. Pas z bronią leżał na jej biurku, ale człowiek nawet na nią teraz nie spojrzał. Patrzył Iwami w oczy.
- Trafiłaś na złego przeciwnika - powiedział spokojnie. Iwami wpatrywała się ze strachem w jego błękitne oczy, niezdolna opuścić wzroku. - Patrz na mnie. Patrz w moje oczy. Jeśli zajdziesz mi za skórę, ten widok będzie twoim ostatnim, Iwami.
Wbił miecz do połowy klingi w ścianę, tuż obok twarzy zaszokowanej Iwami. Chwycił pas z bronią, skinął na Zaki i ruszyli biegiem. Nikt jednak za nimi nie ruszył.
Rox ubrał błyskawicznie pas. Sprawdził miecz, wyciągnął pistolet i zerknął na magazynek. Brakowało tylko tej jednej, nieszczęsnej kuli. To dobrze, lecz i tak musiał korzystać z broni palnej jedynie w ostateczności.
Wybiegli na zewnątrz.
Słońce stało wysoko, oświetlając mury miasta i kamienne domy. Było upalnie, mieszkańcy - koty - chodzili odziani w lekkie, cienkie, lecz długie szaty. Niektórzy mieli nawet głowy całkowicie owinięte czymś w rodzaju długich szali. Rox patrzył na to wszystko, zafascynowany. Zero znanej mu technologii. Poznana ledwie przed minutami rasa… A i samo miasto roztaczało wokół siebie pewien czar. Był po prostu urzeczony.
- Piękne, prawda? - Zaki uśmiechnęła się do niego. - Witaj w Rissor.
Musimy gdzieś się zaszyć, pomyślał.
- Zaki, potrzebujemy kryjówki - powiedział cicho.
- Mam pomysł… Ale muszę się przebrać, mam dość tych szmat. - Popatrzyła na niego. - Mieszkam niedaleko stąd, zahaczymy o mój dom i pójdziemy do katedry. Zgadzasz się?
- Ty tu rządzisz, Zaki - odparł spokojnie. - Prowadź.
Chwyciła go za rękę i poprowadziła wąskimi uliczkami, po kilku minutach weszli po wąskich schodkach do niedużego, dosyć nabałaganionego mieszkanka. Zaki chyba zawstydziła się nieco.
- Wybacz mi, nie miałam czasu na sprzątanie, sam rozumiesz…
- Mnie to mówisz, facetowi… - mruknął rozglądając się. - Za co cię wsadzili?
- Sprzeciwienie się królowej. To kara śmierci. I jakby na to nie patrzeć, uratowałeś mi życie, Rox. Kilkakrotnie. Dziękuję. - Zdjęła jakieś ubranie z półki.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Czy może… - Zerknął na nią, dostrzegając, że stoi tyłem do niego, całkowicie naga, bez skrępowania zrzucając z siebie poszarpane ubrania. Urwał momentalnie, kaszlnął i odwrócił wzrok. - Ee… Nie przeszkadzam ci?
- Skądże - odpowiedziała. Po chwili dopiero zorientowała się, że go to skrępowało. - Och… wybacz.
- Nie szkodzi.
Milczeli przez chwilę. Zaki ubrała się w srebrnoszary, wygodny, długi strój.
- Więc… Rox… masz kogoś? - zapytała, nieco zawstydzona. Człowiek sam nie wiedział, czy to przez jej zachowanie chwilę temu, czy też pytanie.
- Tak - odparł. - Dziewczynę, w domu. Nawet nie wiem, kiedy znów się z nią zobaczę. - Westchnął.
- Jaka ona jest?
- Miła, przyjacielska, piękna, potrafi o siebie zadbać. Za nic bym jej nie opuścił.
- Ale jednak tu jesteś. Sam - zauważyła kocica.
- To moja przyjaciółka, która poprosiła mnie o wizytę tutaj, a moja Eliza… Cóż, została ciężko ranna. Już nigdy w życiu nie stanie o swych siłach na nogach. - Urwał, przygryzając wargę.
- I co, wciąż ją kochasz? Mimo tego? - zdziwiła się Zaki. Rox popatrzył na nią poważnym spojrzeniem, niemalże morderczym.
- To nic nie zmienia, Zaki. Nic a nic. Wciąż ją kocham i z pewnością prędko nie przestanę.
Zaki umilkła, uświadamiając sobie, że wkroczyła na grząski grunt.
- Przepraszam. - Opuściła wzrok.
- Nie gniewam się. - Rox rozchmurzył się momentalnie. - Potrzebuję mapy, masz jakąś?
- Jasne. Mapa miasta, sztuk jeden… - Zaki zdjęła z półki zakurzony, niewielki zwój. - Proszę.
- Dziękuję. - Rox zerknął na mapę, potem zwinął ją i schował za pazuchę upewniając się, że jej nie zgubi. - Czas na nas. Musimy się ukryć. Prowadź, Zaki.
Kocica skinęła głową, wychyliła się zza drzwi i sprawdziła, czy nikt nie nadchodzi. Skinęła na Roksa dłonią, a ten natychmiast za nią ruszył. Kluczyli alejkami, w końcu wybiegli na główną ulicę…
…tuż przed oblicze królowej.
Rox stanął przed nią jak wryty, wpatrując się w nią ze zdumieniem, a ona nie była mu dłużna. Zaki natychmiast schyliła się

w głębokim ukłonie szturchając Roksa, by poszedł w jej ślady. Ten jednak za nic robił sobie jej sugestie. Tuż obok królowej stała Iwami, a za nią - Elun. Już wiedział, dlaczego nikt za nim nie ruszył. Musiały zorganizować ochronę tego pochodu.
- Człowiek… - wyszeptała królowa.
- Koty - odparł Rox. - Też się początkowo zdumiałem.
- Pokłoń się! - syknęła Zaki. - Rox, błagam!
- Pokłoń się przed królową Anelą! - warknął strażnik, nadbiegający z boku. Rox zareagował błyskawicznie, wbijając mu dłoń w miejsce, gdzie człowiek powinien mieć splot słoneczny i przerzucając go przez kolano. Zorientował się, że stanie tutaj, na oczach wszystkich, a zwłaszcza królowej, to kiepski pomysł.
- Wybacz, bardzo chętnie bym pogadał… - powiedział, patrząc na królową i uśmiechając się krzywo. - Ale chyba coś mnie goni, bardzo mi przykro.
Chwycił zdumioną Zaki za rękę, ciągnąc ją za sobą w kierunku najbliższej alejki.
- Łapać go! - rozkazała królowa. - Złapać człowieka!
Zaraz będzie miał na głowie całą straż w tym mieście.
Co on chrzani. Już ją ma.
- Czy ty wiesz, coś zrobił?! - wrzasnęła na niego Zaki. - Nie oddałeś czci królowej! To śmiertelny grzech! Będzie cię za to szukać choćby w piekle, aż cię nie dorwie!
- Piekło, powiadasz… - Rox wyszczerzył się wrednie. - Świetnie się składa. Przez kilka już przeszedłem i mam dziwne wrażenie, że ta królowa Anela w ogóle nie wie, na kogo się porywa!
Alejka była wąska, nawet bardzo. Nie przecisnęłaby się więcej niż jedna osoba. Rox pchnął Zaki przed siebie, a sam zatrzymał się. Pierwszy strażnik wbiegł do środka, kolejni za nim. Rox odczekał chwilę, aż znajdą się mniej więcej na środku, potem uderzeniem magicznym cisnął tego najbliżej mocno na swych kompanów, tarasując zupełnie przejście. Zanim się pozbierają, minie trochę czasu.
- Biegiem! - syknął, popychając zaciekawioną Zaki wprzód.
Zaki zaprowadziła go bocznymi ścieżkami wprost do ogromnego, w porównaniu z resztą domów, budynku. Chłopak rozejrzał się ostrożnie, lecz nie dostrzegł nikogo wrogiego. Za to daleko, naprzeciw wejścia do katedry, zobaczył kolejny, równie wielki budynek.
- Oto i katedra - wyjaśniła Zaki, patrząc na bliższą budowlę. - Święty dom Iro, Tiro i Gero, boskiego rodzeństwa, choć nie ma to żadnego znaczenia. Pewnie zresztą nawet cię to nie interesuje...
- Mylisz się - odparł spokojnie Rox. - Lecz na poznawanie waszej kultury przyjdzie mi czas później. - Wskazał palcem. - Co to za budynek?
- Nie widać? Zamek. Mieszka tam nasza królowa. Cholernie dobrze strzeżony, ale pewnie by cię to nie zniechęciło do najazdu, co?
Obwarowania, wysokie mury... Trudno się dostać, acz z pewnością nie było to niemożliwe, nie dla niego. Poczuł nagle, że Zaki ciągnie go za rękę.
- No chodź! - syknęła. - Zaraz nas znajdą!
Ruszyli razem. Rox dostrzegł znaczne zniszczenia, drzwi były w kawałkach, a wejście zasłonięte było kawałkiem grubej tkaniny. Jego żołądek skurczył się.
Stąd go wyciągnęli. Przez niego zginęli... zginęły koty, próbujące go chronić. Lub zginą lada chwila, a on nic na to nie może poradzić. Czy na pewno będzie tu mile widziany? Czy dadzą mu schronienie?
Zatrzymałby się, ale Zaki już wsunęła się do środka przez tkaninę. Wziął więc głębszy oddech i wszedł.
Panował półmrok. Jedyne okna wstawione były na wschodzie, a słońce chyliło się już ku zachodowi. Mimo to było dość jasno, by dostrzec znaczne zniszczenia. Połamane ławki, rozrzucone, podarte gobeliny... Daleko z przodu był wielki ołtarz, na którym paliło się kilkanaście świec i przed którym ktoś klękał. Zaki szła właśnie w tamtą stronę, a Rox, oszołomiony majestatem tego miejsca zastanawiał się, czy zawsze jest tutaj tak pusto, czy też jest to spowodowane ostatnim najazdem strażników?
- Przepraszam... - zagaiło nieśmiało Zaki.
Tamta kobieta poruszyła się nieznacznie, choć z pewnością musiała usłyszeć ich, gdy wchodzili. Wstała spokojnie i odwróciła się. Rox dostrzegł ją dosyć wyraźnie w świetle świec. Miała szarobrązową sierść i... Tak, Rox się nie pomylił, miała długie blond włosy. Chłopak przyglądnął się znów Zaki. Faktycznie, ona również miała na głowie czupryne, lecz krótką i nieomal w kolorze swojej sierści, więc nie dostrzegł tego wcześniej. Aż mu się głupio zrobiło.
A kiedy kobieta przyglądnęła mu się uważnie, przez plecy przeleciały mu ciarki. Ale wcale nie wyglądała, jakby była na niego wściekła. W jej oczach nie było nawet widać strachu przed potworem z legend.
- Poszukują nas strażnicy. Potrzebujemy schronienia - wyjaśniła Zaki. Aż tak bezpośrednio...?
Kapłanka, bo z pewnością nią była, nie odezwała się słowem. Ominęła za to Zaki i podeszła do Roksa, który usiłował zachować całkowity spokój i nawet mu się to udawało.
- Żyjesz... - odezwała się nagle. Niespodziewanie, uścisnęła go mocno. - Bogom dzięki! Martwiłam się... Kiedy strażnicy cię

wywlekli... byłeś w strasznym stanie i...
- O czym ty mówisz? - zdumiał się. - Pamiętam ledwie kilka sekund z pobytu tutaj. Te zniszczenia... - Popatrzył na roztrzaskane ławki. - To przecież moja wina. I co się stało z tamtymi, których wtedy widziałem? Nie mieli prawa uciec. Nie żyją, prawda?
- Żyją - wtrąciła się nagle Zaki. - Jutrzejsza egzekucja, prawda?
Kapłanka spuściła wzrok.
- Przecież nie mogliśmy cię zostawić, chociaż jesteś człowiekiem. Znaleźli cię ledwo żywego na brzegu lavy. Mieli cię dobić?
Może i powinni, pomyślał ponuro Rox. Byłoby mniej problemów.
- A co z moim koniem? - zapytał tylko.
- Nie znaleźli żadnego konia. Prawdopodobnie utonął, przykro mi.
Rox westchnął.
- Czy możemy liczyć na schronienie? - dopytywała się Zaki.
- Oczywiście. To katedra Trójcy, oni nie zostawiliby bliźniego w potrzebie. - Kapłanka wyciągnęła dłoń w stronę Roksa. - Proszę, mówcie mi Gloria.
- Rox. - Wybrany uścisnął jej dłoń. - A to Zaki, bez niej nawet bym tutaj nie dotarł.
- Cieszę się, że mogę was poznać, Wybrani. - Gloria uścisnęła również dłoń Zaki.
- Jak nas nazwałaś…? - Roksa to uderzyło. Gloria coś wie, zdaje sobie sprawę, że są kimś więcej… Ale nie w tym znaczeniu, w jakim Wybranego określiłby Rox. Zresztą, nie potrafił określić, czy Zaki ma w sobie ten pierwiastek, co on i Dragon… Ale mimo wszystko musiał się dowiedzieć, o co chodziło kapłance w granatowej szacie. Cóż, nic nie stało temu na przeszkodzie, lecz na razie Rox chciał tylko odpocząć, w miarę możliwości umyć się...
I zjeść coś. W brzuchu chłopaka zaburczało nieprzyjemnie, gdy zdał sobie sprawę, że nie jadł nic od posiłku jeszcze sprzed napadu na moście. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny, ale sądził, że posilał się co najmniej dobę temu.
- Musicie być głodni - zauważyła Gloria, zupełnie ignorując pytanie chłopaka. Przez chwilę miał nadzieję, że czymś ich nakarmi, ale szybko zorientował się, że to raczej niezbyt prawdopodobne. - Chodźcie, pokażę wam waszą kryjówkę. Jej poprzedni mieszkańcy do niej już nie wrócą, więc wszystko tam należy już do was. Chcieliby tego. O ile człowiek faktycznie przyczyni się do upadku reżimu.
Rox popatrzył na nią zdziwionym wzrokiem. Że niby on...? Może i robił to wcześniej, ale przecież miał do pomocy Carthana, a razem i tak męczyli się przez pół roku z Alhildem. Wtedy też zresztą wiedział o celu niemal wszystko i miał do pomocy gigantyczne siły ruchu oporu...
No to co? Zrobi się wywiad, wybada sytuację...
...stworzy drugą, może nawet i trzecią tożsamość, wypracuje zachowania, zamaskuje się, będzie wyglądało, że działa na dwa fronty...
Roksa uderzyły te myśli. Rany, pomyślał, nie dość, że to DA się zrobić, to jeszcze będzie niezła zabawa i sposób na zabicie czasu w swoim wojowniczym stylu...
Potem sobie przypomniał, że w tę stronę, krok po kroku, zmierza niemała armia ludzi, planujących masową eksterminację wrogich i obcych jednostek. Licz, Rox... Ich prędkość sugeruje, że przebrną przez las za jakieś... Dwa i pół miesiąca? W sumie do Rissor mogli dotrzeć za trzy miesiące. To źle. Nie mógł pozwolić na wybicie całego miasta do nogi!
Jest Dragon. Ma wystarczający prestiż, by mógł ingerować w plan ataku ludzi. Jest z pewnością w stanie go opóźnić, jeśli nie znacznie, to chociaż tydzień lub dwa.
Innymi słowy, będzie działał na dwa fronty - u ludzi jako szpicel, gdzie jego łącznikiem będzie Dragon, kiedy - o ile - go znajdzie, a u kotów będzie musiał zająć się obalaniem tyranii, jednocześnie usiłując nie dopuścić do rozlewu krwi i eksterminacji miasta przez ludzi. Jeśli Kazadan się o tym dowie, uzna to za zdradę. Jeśli koty dowiedzą się o jego zadaniu dla ludzi, postąpią dokładnie tak samo. Straci ich zaufanie i w obu przypadkach będzie czekać go śmierć - albo błyskawiczna ewakuacja do domu. Nie mógł do tego dopuścić, inaczej będzie miał na rękach krew niewinnych.
No, to spacerek po parku się kapkę pokomplikował...
Po pierwsze więc, trzeba skontaktować się z Dragonem. Trzeba będzie rozpuścić plotkę. Zresztą, po jego ostatnich działaniach, plotka sama się rozpowszechni. Dragon go znajdzie, wystarczy tylko poczekać.
- Rox...? - Gloria szturchnęła ostrożnie błądzącego wzrokiem po drewnianej podłodze chłopaka. - Wszystko w porządku?
Chłopak uniósł wzrok.
- Tak... Nie... - usiłował coś powiedzieć, ale przerwał. Westchnął. - Nic, na co miałybyście wpływ, niestety.
- Jeśli tylko będziesz potrzebować pomocy, powiedz mi - poprosiła Gloria. - Może i niewiele osób tutaj uczęszcza, lecz mam kontakty, znajomości... Jeśli sama nie zdołam pomóc...
- Jasne, jestem z tobą. - Zaki wzruszyła ramionami.
- Dziękuję wam. Będę o tym pamiętał. - Uśmiechnął się.
Gloria poprowadziła ich przez boczną nawę i pchnęła ukryte w ciemności drzwi. Weszli do niewielkiego korytarzyka, przez

otwarte drzwi z boku dostrzegł łóżko, szafkę i niewielką skrzynkę - sypialnia Glorii. Kapłanka jednak przeszła dalej i otworzyła kolejne drzwi, do jakiegoś magazynu. Zapaliła jedną ze świeczek i pochyliła się. Rox zdumiał się widząc, że chwyciła ona podłogę. Wysunęła niedostrzegalny trzpień i uniosła klapę. Ostrożnie, przyświecając sobie świecą, zeszła w dół po kamiennych, stromych schodach. Ruszyli za nią, ostrożnie badając grunt, stopień po stopniu, aż doszli do sporego pomieszczenia. Gloria odpaliła kilka świec, więc Rox i Zaki mogli się swobodnie rozejrzeć.
Było to pomieszczenie jakieś pięć na siedem metrów, więc faktycznie niemałe. Naprzeciw schodów stał stół, a na nim jakieś papiery (Rox dołączył do nich mapę miasta od Zaki). Przy ścianach po przeciwnych stronach stały dwa łóżka, przy każdym - spora skrzynia. Pomiędzy nimi, na ścianie, znajdował się niemały właz pokryty kratą.
- Kanały? - zdziwił się Rox, przyglądając się temu włazowi. - Spodziewałem się rynsztoków w takim mieście.
- Trudno nazwać to kanałami. Wpływa tam odnoga lavy, lecz tunele nie mają funkcji sanitarnych. Czyli faktycznie wciąż u szczytu popularności są rynsztoki... Za to macie dopływ powietrza i świetną drogę ucieczki. Gdzieś tam chyba leżały ich mapy... - Gloria zerknęła na zawalony papierzyskami stół. - Jak mówiłam, wszystko, co ich, jest już wasze. Przeglądnijcie te rzeczy.
- Dziękujemy - powiedziała Zaki, podczas gdy Rox przyglądał się włazowi. - To wiele dla nas znaczy.
- Jest jakaś przepowiednia, nieprawdaż? - Rox obejrzał zawiasy. - Albo legenda, nieważne. Przyjdą złe czasy, pojawi się człowiek, wybraniec bogów, by wszystkich wybawić... - Sapnął, gdy w końcu otworzył ciężki właz. Zerknął na towarzyszki. - Nie mylę się, czyż nie?
- Owszem, nie mylisz się - przyznała Gloria. - Chcesz, bym ci o niej opowiedziała?
- Mam wiele pytań... - Rox wziął świeczkę, kątem oka dostrzegł lustro. Zerknął w nie i skrzywił się. - Ale trzeba zacząć od tego, że nie wierzę w takie rzeczy. Po prostu nie wierzę. Poza tym, skoro to nie kanały... - Wskazał na właz. - To chyba mogę się wykąpać, co? Zje mnie tam coś? - Nikt nie odpowiedział. - Potem prześpię się kilka godzin, słońce zachodzi, a liczę, że przed wschodem będę wypoczęty. Potem chcę zobaczyć miasto z lotu ptaka, ot, zachcianka. Następnie przeglądnę rzeczy, które nam przypadły. Muszę też obmyślić jakiś dalszy plan. Mam też zamiar być na egzekucji. Nie mogę nic z nią zrobić, ale chcę przynajmniej jakoś ich uhonorować, choćby samą moją obecnością. Potem będę zbierał informacje, skoro mam jakoś obalić władzę... Ale przed tym wszystkim, Glorio, błagam, umieram z głodu.
Kapłanka zaśmiała się serdecznie.
- Oczywiście! Cóż ze mnie za gospodarz, wspominam o jedzeniu i nawet nie raczę was poczęstować... Chodźcie, rozgośćcie się. To teraz wasz dom.
Cel: Znaleźć kryjówkę. Wykonane. Rox uśmiechnął się pod nosem.

Ninjin

Ostatni oddech



Na pierwsze ślady obecności człowieka natknęła się w Reno. Największe Małe Miasteczko na Świecie leżało w gruzach, tak jak wszystko na zachód od Salt Lake City, jednak gdy przechodziła głównymi ulicami miasta czuła na sobie ukradkowe spojrzenia. Mutanty wyczuły ją już dawno, smród śmierci rozchodzi się na wiele kilometrów. Odmieńcy nie musieli patrzeć, by widzieć, więc to mimo wszystko byli ludzie. Kobiety z dziećmi, całe rodziny, gnieździli się jak zwierzęta w ruinach budynków, brudni i głodni. Wyglądali jak ciekawskie psy zza załomów murów, a w ich oczach rozpalone szaleństwo mieszało się z zimną obojętnością. Ile to już trwało? Miesiące? Lata? Jakby ktoś zapomniał im powiedzieć, że już są martwi, że to już koniec. Wiedziała, że żaden nie odważy się do niej podejść, ale na wszelki wypadek wyciągnęła nóż. Kilka ciekawskich głów zniknęło z pola widzenia. Musiała odpocząć przed przeprawą przez góry, inaczej nigdy by się tu nie zatrzymała. Ostatnie czego teraz potrzebowała to towarzystwo, zbędny ludzki balast. Gdy następnego ranka opuszczała miasto dwóch odmieńców właśnie rozszarpywało jednego z nich. Krew lśniła na śnieżnobiałych kłach. Uśmiechali się szyderczo, bezrozumne bestie, demony nowego świata. Chłopiec nie mógł mieć więcej niż siedem lat.
Przejście przez Sierra Nevada było najtrudniejsze. Odmieńcy nie opuszczali jej na krok. Słyszała jak przedzierają się przez zarośla, ich cienie migały wśród drzew. Zawsze trójkami, zawsze czujni i gotowi do ataku. Co jakiś czas natrafiała na gnijące, ludzkie zwłoki, czy przeżarte rdzą wraki okutych blachą ciężarówek z logiem FS lub SLCC. Karawany ciągnące do Sacramento stanowiły dla nich łatwy cel, zwłaszcza w nocy. Gdy chcieli potrafili poruszać się prawie bezszelestnie, a ich ostre pazury z łatwością rozrywały najtwardszy pancerz.
Jeden zaatakował tuż przed zmierzchem, drugiego dnia marszu. Przesadził drogę trzema szybkimi susami. Szare guzy mięśni pulsowały pod cienką skórą, czarne jak sadza oczy skrzyły się w zapadającym mroku.. Skoczył w jej kierunku wyciągając przed siebie parę uzbrojonych w szpony dłoni. Zbyt wolno. Jednym szybkim ruchem poderżnęła mu gardło. Zwłoki zostawiła na środku drogi. Pozostała dwójka zaczęła je pożerać nim zniknęła za zakrętem.
Przebycie łańcucha górskiego zajęło jej trzy dni. Opuściła wysłużoną osiemdziesiątkę i skręciła w stronę Grass Valley, by ominąć posterunki rozstawione na międzystanowej. Nikt normalny by nie uwierzył, że sama przebyła taką drogę i przeżyła. Sama by sobie nie uwierzyła. Poza tym tutaj odmieńców było zdecydowanie mniej. Bez cennego pożywienia z karawan nawet oni sobie nie radzili. Po raz pierwszy od wielu dni zdecydowała się rozpalić ognisko. Znalazła przyjemne miejsce niedaleko drogi, na małej piaszczystej polanie. Zdjęła ciężkie buty i obejrzała je dokładnie. Jedna podeszwa ledwo się trzymała, sznurowadło w drugim bucie pękło jakiś czas temu, ściągała go rzemieniem wyciągniętym z plecaka. Odrzuciła je wzdychając ciężko. Jeszcze tylko kilka dni i dotrze do miasta, będą musiały wytrzymać. Wyjęła z plecaka przedostatnią puszkę z mięsem, otworzyła nożem i zawiesiła nad ogniem. Płomienie grzały ją przyjemnie w twarz, gdy pochylała się, by powąchać posiłek. Gdzieś na granicy światła lśniły oczy mutanta. Czuła na sobie jego wzrok. Chciał ją rozszarpać, chciał jeść, jednak nie ruszał się z miejsca. Przebywała w tej okolicy na tyle długo, by zdążyły przyzwyczaić się do jej zapachu i zrozumieć go. Zrozumieć i zacząć się jej bać. Dziś będzie się mogła przespać, żaden z nich sie do niej nie zbliży, a samotni ludzie nie stanowili żadnego zagrożenia, nawet gdy spała. Odpoczynek to luksus, na który długo nie mogła sobie pozwolić. Wyciągnęła z plecaka małą fiolkę z gęstym czerwonym płynem. Potrząsnęła nią w zamyśleniu. Westchnęła ciężko i odłożyła ją na swoje miejsce. Znalazła książkę w zniszczonej, skórzanej oprawie. Założyła za ucho kosmyk rudych włosów, który opadł jej na twarz, przerzuciła kilka kartek. I na to pozwalał jej komfort samotności. Wyrecytowała kilka wersów, które znała na pamięć.
Ściągnęła rozgrzaną puszkę z ognia i zaczęła wyjadać łapczywie mięso, rozdrabniając je nożem i nabijając kawałki na szpic. Niewielkie przyjemności, ciepło ogniska, książka, posiłek, stopy uwolnione od ciężkich butów. Ten wieczór zasłużył sobie na uśmiech, a jako, że w okolicy jedyną żywa istotą, był wlepiający w nią oczy odmieniec, uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej blask białych kłów wyszczerzonych w groteskowym grymasie. Zaśmiała się i rzuciła mu ostatni kawałek mięsa. Chwycił go zębami i połknął nawet nie gryząc.
- Na zdrowie, bracie.

***

Sieć. Największe dobrodziejstwo ludzkości. Cała zgromadzona bez tysiące lat wiedza, dostępna przez całą dobę, w każdym miejscu na Ziemi. Oczywiście w przystępnej dla większości cenie. W ciągu jednego pokolenia od ich wynalezienia, wszczepki, umożliwiające dostęp do Sieci, stały się normą. W ciągu nastepnego, obowiązkiem. Każdy nowy wynalazek, każda nowa myśl, stawały się natychmiast dostępne dla wszystkich. Olbrzymie serwery pracowały nieustanie w najsilniej strzeżonych bunkrach. Dla dobra większości, by zapewnić tak upragnioną przez wszystkich równość, by zapewnić pokój. Wystarczyły milisekundy, byś stał się ekspertem w dowolnej znanej człowiekowi dziedzinie. Kilkadziesiąt tysięcy i jesteś fizykiem jądrowym, bez szkół, bez marnotrawienia cennego czasu. Nie masz kilkudziesięciu tysięcy? Za kilkaset też się coś dla ciebie znajdzie. Szkoły i tak straciły rację bytu. W końcu doszło do tego, że w dobrym tonie było nie wiedzieć. Ignorancja w wyższych sferach pleniła się jak zawsze, tylko tym razem nazywana była modą. Cóż mogło być pociągającego w wiedzy, którą każdy miał na wyciągnięcie ręki? Coraz większą popularnością zaczął się cieszyć nieoficjalny, inwazyjny hard zwiększający możliwości wszczepek. Regulatory organizmu zwiekszające wydolność, ultraszybkie banki danych, na któ-

rych gromadzono informacje, ingerujące w struktury mózgu.

***

Do punktu rozładunkowego w Auburn dotarła tuż przed odjazdem karawany. Kilku mężczyzn wynosiło z jednej z ciężarówek skrzynie z żywnością dla pobliskiego posterunku. Tuż obok grupka zmęczonych, brudnych cywili gestykulowała gwałtownie dyskutując o nocnym ataku mutantów. Zginął jeden strażnik, dwóch innych zostało rannych. Nikt nie zwracał na nią uwagi, większość z obecnych wpatrywała się tępo przed siebie, wygoniona jak bydło z przyczepy, by zaczerpnęli powietrza przed ostatnim odcinkiem trasy. Jedna osoba więcej, jedna mniej, póki mieścili się w ładunku, każdy mógł jechać. Brudną robotę zawsze odwalali selekcjonerzy przy bramach.
Przyczepy z uwagi na bezpieczeństwo były praktycznie pozbawione okien i obite grubą blachą. Gorąco i smród stały się nieznośne już po kilku minutach jazdy, a otaczający ją ludzie spędzili w takich warunkach przynajmniej dwa dni. Ze wszystkich stron spoglądały na nią przekrwione, podkrążone oczy. Ludzie pozbawieni resztek człowieczeństwa. Na samą myśl o nich robiło jej się niedobrze. Przepchnęła się pod ścianę. Nikt nie zareagował, nie zaprotestował gdy go odpychała. Resztę podróży spedziła wciśnięta w kąt z zamkniętymi oczami. Przechodziły ją dreszcze, ubranie miał mokre od potu. Starała się nie zwymiotować.
Jeszcze kilka minut po otworzeniu drzwi musiała dochodzić do siebie. Łapała głośno powietrze, czuła jak pulsują jej skronie. Dwóch strażników przeszło obok niej obojętnie. Wskoczyli do przyczepy i zaczęli wyrzucać z niej ciała tych, którzy nie przetrwali swojej drogi do raju. Zabrakło im dwieście metrów. Forteca Sacramento, bo tak w tych stronach nazywano raj, rozsiadła się wygodnie wśród ruin dawnej metropolii. Otoczona płaszczem kilkumetrowego muru, łypiąca na podróżnych olbrzymimi oczami wież strażniczych, betonowa bestia. Jedno z niewielu miejsc, które przetrwało wojnę. Szybko przejęte przez wojsko i rządzone żelazną ręką generała Forbesa zapewniało bezpieczeństwo już blisko dwudziestu tysiącom mieszkańców. Mówiło się, że Forbes może wystawić nawet do tysiąca uzbrojonych ludzi. Siła której nie przeciwstawiłoby się nic na zachodnim wybrzeżu. Do stalowych bram twierdzy właśnie ustawiała się kolejka wyrzutków.
Dziewczyna podniosła się, otrzepała spodnie z kurzu i zajęła swoje miejsce w rzędzie. Minęło pół godziny nim przyszła jej kolej. Stanęła przed dwoma selekcjonerami w czarnych, duralowych zbrojach. Dwóch innych mierzyło do niej z najbliższej wieżyczki strażniczej.
- Znasz procedurę? - mruknął strażnik.
Nie odpowiedziała. Rzuciła plecak pod nogi, zdjęła bluzkę. Rozłożyła ręce ukazując wnętrze dłoni. Odwróciła się plecami. Mechaniczne ruchy, powtarzane setki razy.
- Znasz. - podszedł do niej i zaczął przeszukiwać kieszenie spodni, uśmiechając się głupio. - Gdzie wcześniej mieszkałaś?
- Salt Lake. - rzuciła oschle. Chciała mieć to już za sobą.
Znalazł nóż, podał go drugiemu strażnikowi, wyciągającemu kolejne rzeczy z plecaka. Położył jej rękę na ramieniu i odwrócił twarzą do siebie. Jeszcze raz przesunął wzrokiem po jej ciele. - Zdecydowanie nie widać śladów mutacji. - Cały czas się uśmiechał patrząc jej w oczy.
- Tutaj też czysto. - drugi skończył przeszukiwanie jej bagażu. - Nóż zostaje, resztę możesz zabrać.
Podniosła plecak i bluzkę, oba zarzuciła na ramię. Gdy przechodziła przez bramę jej miejsce zajęła kolejna osoba. Lufy karabinów na wieży strażniczej mechanicznie przesunęły się na nowy cel.

***

W ciągu następnych dwóch pokoleń Sieć stała się największym przekleństwem ludzkości. Niewielu pamięta jak to się zaczęło. Możliwe nawet, że żadna z krążących na ten temat legend nie jest prawdziwa. Czy nieuważne słowo pracownika średniego szczebla może zmienić się nagle w globalny holokaust? Czy próby utrzymania światowego pokoju były jedynie mżonką, a supermocarstwa ostrzyły na siebie zęby już od dawna? Teorie chaosu, teorie spiskowe, wszystkie równie prawdopodobne co bajki opowiadane dzieciom przed snem. Dziś i tak nie ma to żadnego znaczenia. Odpowiedzialni najprawdopodobniej nie żyją od wielu lat, ci którzy mieli nieszczęście przeżyć już dawno zobojetnieli na prawdę. Jakakolwiek była przyczyna wojny to nie ona była odpowiedzialna za upadek cywilizacji. Chaos rozpetał się gdy zamilkła Sieć.

***

Większość zabudowy fortecy stanowiły kilkupiętrowe baraki, już przeludnione, a wciąż przyjmujące nowych mieszkańcow. Planowane na początek lata wyburzenie zachodniego odcinka muru i rozbudowa nowego Sacramento opóźniała się. Wzmożone ataki odmieńców na konwoje z SLCC nie pozwalały na zebranie odpowiedniej ilości materiałów. Jedynymi, którzy nie mogli narzekać na warunki byli wyżsi oficerowie, którzy wraz z rodzinami zamieszkiwali centrum twierdzy. Kilka budynków, które przetrwały wojnę i nadal nadawały się do zamieszkania oddzielono solidnym ogrodzeniem z drutem

kolczastym. Przy jedynej, prowadzacej do środka, bramie stało dwóch uzbrojonych strażników.
Wąskie uliczki twierdzy tonęły w mdłym świetle dogasających pochodni, szczyty budowli skrywał mrok. Więszość oświetlenia jak i pełna uwaga strażników na wieżyczkach skierowana była na zewnątrz fortecy. Dziewczyna leżała na dachu jednego z wyższych baraków. Mogła stąd obserwować panoramę miasta, jednocześnie pozostając niezawuważoną. Właśnie układała się do snu, gdy usłyszała krzyk. Poderwała się gwałtownie, zaczeła nasłuchiwać. Głos kobiety dochodził z jednej z uliczek na zachód od jej obecnej pozycji. Przesadziła dachy kilkoma zwierzęcymi susami. Zatrzymała się na jednym z pordzewiałych baraków i wyjrzała znad krawedzi. Kobieta miała nie więcej niż trzydzieści lat. Długie czarne włosy opadały jej na twarz, gdy czołgała sie po ziemi, starając się odsunąć od stającej nad nią postaci. Strażnik celował do niej z karabinu, dwóch innych pilnowało wylotu ślepej uliczki.
- Nie ruszaj się suko albo cię rozwalę. I przestań kurwa wrzeszczeć. Myślisz... - nie dokończył. Potężne uderzenie strzaskało mu kregosłup. Dziewczyna wylądowała miękko na środku chodnika, amortyzując upadek nogami i rękami. Jej oczy zasnuła czarna mgła. Przerzuciła ciężar ciała na pięty. Wybiła się do przodu w chwili gdy dwaj mężczyźni odracali się w jej kierunku. Gdy wyciągnięte ręce uderzyły w mostek jednego z pozostałych przy życiu strażników, usłyszała trzask łamanych kości. Widziała zdziwienie w jego oczach, gdy siła zderzania rzuciła ich na ziemię.Osłabiona klatka piersiowa nie wytrzymała, jej dłonie wbiły sie w głąb ciała. Wyrwała je jednym szybkim ruchem. Nie mogła sobie pozwolić na chwilę zwątpienia. Ostatni przeciwnik znajdował się teraz za jej plecami. Jednak gdy odwróciła pokrytą krwią twarz w głąb ulicy zobaczyła jedynie przerażenie. Strażnik stał sparaliżowany zaciskając trzęsące się palce na rękojeści rewolweru. Wpatrywał się w stygnące ciało przyjaciela. Teraz juz nie było odwrotu, musiała go zabić. Jeśli pozostawi jakiegokolwiek świadka, już nigdy nie opuści murów tej fortecy.
- Nie zbliżaj się. - blady z strachu cofał się wolno, celując w jej kierunku. - Zabiję cię! - wystrzelił tylko raz. Kula zrykoszetowała od stalowej ściany kontenera, tuż obok głowy dziewczyny. Jednym kopnięciem zmiażdżyła mu krtań.
Kobieta leżała cały czas na środku ulicy, równie zaskoczona sytuacją co jej niedoszli oprawcy. Dziewczyna podeszła i ukucneła obok niej. Przekrzywiła głowę z zaciekawieniem i uśmiechnęła się przyjaźnie. Czarna mgła zasnuwająca jej oczy zdążyła się rozpłynąć odsłaniając szaroniebieskie źrenice.
- Kim... czym ty je-jesteś? - z trudem wypowiadała słowa przez opuchnięte usta. Jedno oko miała podbite. Czerwona, aksamitna bluzka, którą miała na sobie rozdarła się podczas szarpaniny ze strażnikiem.
- Czy to ważne? Nie musisz się mnie bać.
- M-mutant.
Poczuła ukłucie bólu gdy usłyszała to słowo, jednak nie przestawała się uśmiechać.
- Właściwie wolę imię Sara. - wstała i wyciągnęła rękę. Kobieta wahała się przez chwilę, ale podała jej dłoń. Dziewczyna pomogła jej wstać. - Lepiej żeby nikt cię nie zobaczył w takim stanie. Gdzie mieszkasz?
- Dzi-dziękuję.
- Co?
- Uratowałaś mnie.

***

Sygnał nadany przez serwery Sieci, tuż przed ich zamilknięciem, Ostatni Oddech, impuls o długości jednej femtosekundy, spowodował śmierć kilkudziesięciu milionów osób. Naukowcy, technicy, domorośli inżynierowie ciała, wszyscy, których hardware strojony był impulsami Sieci, umierali natychmiast, pozbawieni tlenu, z całkowicie rozregulowanym systemem nerwowym. Kilku szczęśliwców, którym udało się przeżyć zapadło w śpiączkę, z której i tak nigdy mieli się nie obudzić. Jednak to był dopiero początek.
Od wielu lat nikt nie używał oryginalnej struktury mózgu do magazynowania informacji, ponieważ uważnano ją za wolną i przestarzałą. Wszczepka robiła to znacznie lepiej i usuwała wszelkie niedogodności związane z użytkowaniem zawodnego układu nerwowego. Organicznych struktur używano jedynie do gromadzenia awaryjnych backupów. Syntezy mowy, podstawowej koordynacji i wojskowych modułów bojowych. W chwili gdy Sieć umierała wszystkie implanty zostały zresetowane. Ostatni Oddech, w jedną biliardową część sekundy, zniszczył cały dorobek ludzkości, gromadzony przez tysiące lat. Ziemia w jednej chwili zapełniła się ludźmi o poziomie wiedzy przeciętnego dziesięciolatka i żołnierzami, którzy umieli jedynie zabijać.

***

Forbes był właścicielem jedynego hotelu w mieście. Zatrzymywali się w nim jego najważniejsi goście. Anna od kilku lat zajmowała się jego zarządzaniem i utrzymaniem porzadku, miała więc dostep do najlepszych pokoi. Własny pokój był dla Sary wprost nieprzyzwoitym luksusem.
Wyszła z łazienki naga i podeszła do okna. Oparła dłonie na parapecie, rozejrzała wokół. Choć był środek lata i noc była cie-

pła zadrżała gdy wiatr przesunął palcami po jej ciele. Rozmyślała o tym co zdarzyło się przez ostatnie kilka dni. Krew dużo łatwiej zmyć z ciała niż z umysłu. Mawiano, że takie nastały czasy, że trzeba zabijać, by przeżyć. Zasady były poste, ludzie zabijali odmieńców, odmieńcy ludzi. Nikt już nie dziwił się trupom, pozostawionym przy drogach na pastwę zwierząt. Ona chciała tylko znaleźć miejsce, w którym mogłaby się poczuć jak w domu. Wątpiła czy istnieje takie miejsce, czy ktokolwiek zdołałby ją zaakceptować. Anna spytała ją czym jest. Sama nie miała pewności.
Podeszła do łóżka. Na posłaniu leżało złożone, czyste ubranie. Założyła bieliznę i rozłożyła się na kołdrze. Całe tygodnie spała na pustkowiach, posłanie wydawało się niewyobrażalnie miękkie. Przesuwała po nim dłońmi, napawając się dotykiem. Normalne rzeczy nabierają zupełnie innego znaczenia w tym świecie. Chciała tylko zasnąć, przespać cały tydzień. Czuła, że mogłaby przywyknąć do takiego życia. Spokojnego, bezpiecznego, miejskiego. Właściwie to był tylko błysk, jedna ulotna chwila. Dobrze wiedziała, że nie wytrzyma tu długo. Jej droga jeszcze się nie skończyła. Miała tu tylko odpocząć, zregenerować siły, uzupełnić zapasy. Nigdy by sobie nie pozwoliła na zamknięcie w takiej klatce. Przynajmniej tak jej się wydawało.
Pokój oświetlał ogień z niewielkiego kominka. Płomienie głaskały poczerniałe okładki książek ułożonych w stos. Tylko do tego się nadawały w dzisiejszych czasach. Przypomniała jej się powieść którą przyniosła ze sobą. Z trudem podniosła się z łóżka, zostawając za sobą przyciągającą miękkość pościeli. Z wysłużonego plecaka wyciągnęła starą książkę i usiadła przy kominku. Przerzuciła kilka stron. Przypomniała się jej noc na pustkowiach, uśmiechnęła się do siebie. Pogrążona w myślach nie zauważyła, że ktoś wszedł do pokoju.
- Sara, co robisz?
- Czytam, nie przeszkadzaj. - rzuciła zniecierpliwiona.
- Co?
- Czyt... - podniosła wzrok. Anna wpatrywała sie w nią z niedowierzaniem.
- Umiesz czytać?
- Posłuchaj. To bardzo trudno wytłum...
- Nie. Nie. To świetnie! - Anna przerwała jej wyraźnie podekscytowana. Podbiegła do dziewczyny uśmiechając się. Usiadła tuż za nią i zaczęła wyglądać jej przez ramię jak mała, ciekawska dziewczynka. - Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś takiego. Myślałam, że już nikt tego nie potrafi. Poczytaj mi!
Wachała się onieśmielona, zarówno tym niespodziewanym wybuchem radości jak i samą bliskością drugiej osoby. Dopiero teraz uświadomiła sobie jak dawno nie czuła dotyku drugiego człowieka. Normalne rzeczy nabierają zupełnie innego znaczenia w tym świecie. Zaczeła czytać, powoli, cicho. Po chwili zamknęła oczy. Znała ten fragment bardzo dobrze, tak wiele razy go powtarzała w czasie podróży. Słowa same układały się pod przymkniętymi powiekami. Anna położyła dłonie na jej ramionach i przysunęła się bliżej. Uśmiechnięta wsłuchiwała się w głos dziewczyny.
Sama nie wiedziała czy to bliskość ogniska, czy drugiej osoby sprawiła, że zrobiło jej się tak gorąco. Przez jej ciało przeszedł dreszcz, gdy poczuła na szyi ciepły oddech kobiety. Przyjemność, ktorej tak dawno nie miała okazji zaznać. Świat zaczął sie dla niej zamykać w tym jednym ulotnym dotyku.
- Czy coś się stało? - Anna szepnęła jej do ucha.
- Co? - rzuciła speszona. - Nie. Nic. - dopiero teraz zorientowała się, że przestała czytać. - To tylko zmęczenie. Wiesz, długa droga za mną.
- Pewnie. - Anna podskoczyła roześmiana. - Podróż musiała Cię wykończyć, a ja głupia Cię jeszcze męczę. Prześpij się. Jutro też jest dzień.
- Tak. To chyba najlepszy pomysł. - postarała się o najuprzejmiejszy uśmiech na jaki było ją w tej chwili stać.
- Pokój jest cały twój. Możesz czuć się jak u siebie. - odwróciła się jeszcze wychodząc - Dobrej nocy.
- Dobrej nocy.
Została sama. Położyła się w miękkiej pościeli, która tak bardzo ją przyciągała. Choć zmęczona, jeszcze długo nie mogła zasnąć. Przewracając się z boku na bok rozpamiętywała ostatnie godziny tego dnia. Przypomniała sobie jej dotyk, przymknęła oczy. Zastanawiała się, co się z nią dzieje. Życie wśród ludzi nigdy nie było łatwe.

***

Wojna trwała kilkadziesiąt lat. Ludzkość stopniowo wykrwawiała się, pogrążona w anarchii i chaosie. Wolność, równość, pokój, stały się tylko odległymi ideami. Mitami, o których opowiadano dzieciom przy ogniskach. Większość miast popadła w ruinę. Przez kontynenty przetaczały się watahy koczowników szukających pożywienia i wody. Mordowali i palili wszystko co stanęło na ich drodze. Jednak dużo większe zagrożenie stanowili odmieńcy. Zniszczone wszczepki zaczęły się stopniowo rozkładać. Uwolnienie trujących substancji chemicznych do organizmu u części ludzi prowadziło do niekontrolowanej mutacji. Jednostka stawała się silniejsza, wyostrzały się jej zmysły, traciła jednak stopniowo panowanie nad swoim zachowaniem. Gwałtowni i brutalni uciekali od innych ludzi i znikali na pustkowiach gdzie dziczeli do reszty. Zebrani w małe kilkuosobowe grupy rozpoczynali polowania.

Po kilku dniach od Ostatniego Oddechu zaczęły formować się pierwsze punkty oporu. Generałowie bardzo szybko dostrzegli przewagę jaką dały wojsku obowiązkowe bitewne backupy. Zaczęli gromadzić zapasy i materiały budowlane w centrach dużych miast, które nie ucierpiały w znacznym stopniu w skutek działań wojennych. Wkrótce do nowo powstałych miast-fortec zaczęli napływać pierwsi wędrowcy. Wojsko pragnęło tylko jednego. Uznania nowych, samozwańczych władców, za cenę bezpieczeństwa.

***

Minął tydzień od czasu gdy po raz pierwszy pojawiła się w Sacramento. Przez ten czas zdążyła zrozumieć co dzieje się w mieście. To co przydarzyło się Annie nie było odosobnionym przypadkiem. Strażnicy robili co chcieli, a spisana, podobno przez władców największych fortec Ameryki, karta praw miała moc przede wszystkim na papierze. Generałowie bardzo często mówili o równości, nawiązując do szczytnych ideałów przeszłości jednak niczego to nie zmieniało. Wszyscy pamiętali w jaki sposób doszli do władzy, współczesny świat nie uznawał już innych dróg. Posiadając broń stawałeś się panem wszystkich, którzy jej nie mieli.
Schodziły po wąskich, stromych schodach. Z piwnicy unosił się kwaśny zapach moczu. Nie mogły zabrać ze sobą pochodni, wolały nie przyciągać uwagi strażników. Anna jednak zapewniła Sarę, że świetnie zna drogę i nie potrzebują światła. Dziewczyna czuła się zdezorientowana. Kobieta nie zdradziła jej gdzie się udają, wyciągnęła ją z łóżka w środku nocy i kazała się ubrać. Od czasu gdy opuściły hotel nie zamieniły nawet jednego słowa. Anna szła pierwsza, przesuwając palcami po jednej ze ścian. Sara, trzymając dłoń na jej ramieniu podążała tuż za nią. Droga była długa i kręta. Często zmieniały kierunek marszu. Korytarze pod miastem ciągnęły się całymi kilometrami. Zbyt duże, by mogli je zbudować współcześni, były najprawdopodobniej reliktem upadłej metropolii. Jedynym co zostało ze świetności dawnego świata.
Anna nie kłamała. Poruszała się pewnie, jakby przemierzała te tunele wiele razy. Znalazły się już poza murami mista gdy dostrzegły jasne światło w jednym z bocznych korytarzy.
- To tutaj - szepnęła kobieta i pociągnęła Sarę za sobą przyśpieszając kroku.
Pomieszczenie było olbrzymie, przez całą jego długość ciągnęły się drewniane stoły przy których siedzieli ludzie. Inni zebrani w kilkunastoosobowe grupki dyskutowali na podwyższeniu znajdującym się na środku hali. Łącznie mogło być ich nawet dwie setki. W chwili gdy dwie postacie weszły do pomieszczenia, przez sale przeszedł pomruk i większość twarzy zwróciła się w ich kierunku.
- Co tu się dzieje? - dziewczyna rozglądała się coraz bardziej zdezorientowana.
- To? To ludzie których poprowadzisz. - Anna uśmiechała się do niej.
- Co?
- Nie rozumiesz? Możemy wszystko zmienić. Może być tak jak dawniej. Jak przed wojną. Wtedy wszyscy byli równi, nikt nie gwałcił bezbronnych kobiet, nie strzelano do cywilów w biały dzień. Możemy wrócić do starych ideałów. Jeśli nam się uda inni pójdą za nami. - Anna chwyciła ją za ramiona. - Wystarczy...
- Wystarczy, że Forbes umrze, tak? - dokończyła.
- Dobrze wiesz, że każda rewolucja wymaga ofiar. Widziałaś co się tu dzieję. Widziałaś co chcieli mi zrobić! Forbes nie zasługuje na to by żyć, tak jak i jego ludzie. Przygotowywaliśmy się na ten dzień bardzo długo, od miesięcy zbieramy broń i żywność. Wiem, że ich jest więcej, ale zaskoczymy ich. Te tunele ciągną sie aż pod dzielnice oficerów. Zaatakujemy w nocy. Zanim zdążą wyjść z łóżek bedzie po wszystkim. Z tobą na pewno wygramy. Od kiedy mnie uratowałaś, wiedziałam, że jesteś kimś kogo potrzebujemy.
- Wygramy! - podchwyciło kilka głosów z tłumu.
Kimś, czy czymś? Nie powiedziała tego głośno. Dała się pociągnąć na środek sali za rozentuzjazmowaną kobietą. Tłum ją otoczył, ludzie zaczeli wznosić okrzyki. Kilku chwyciło za karabiny i oddało strzały w sufit. To miały być ostatnie spokojne noce w Sacramento.

***

Pakowała się powoli. Nie miała wiele rzeczy, nigdy nie potrzebowała więcej niż mogła zmieścić w plecaku. Książka, ubrania, żywność i jeszcze coś, fiolka gęstego, czerwonego płynu. Zacisnęła ją w pięści. To będzie trudniejsze niż myślała.
- Co robisz? - Anna jak zwykłe weszła do pokoju nawet nie pukając.
- Usiądź. Musimy porozmawiać.
Kobieta niepewnie podeszła do łóżka, nie spuszczając wzroku z plecaka. - To ma być nasz wielki dzień, pamiętasz? Wszystko już przygotowane. W nocy ruszamy.
Dziewczyna wyglądała przez okno, odwrócona do niej plecami.
- Co wiesz o Sieci?
- Co?

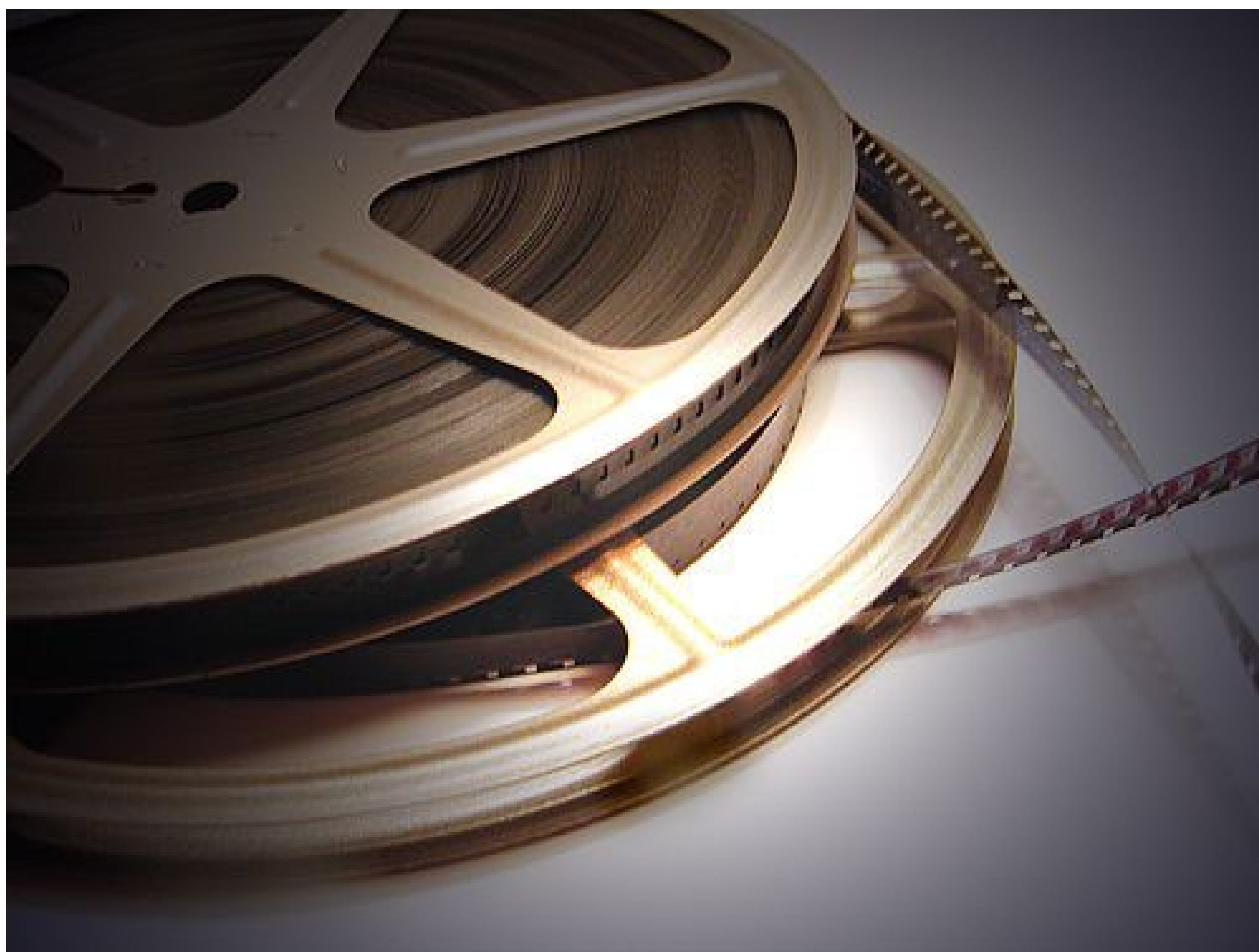
- Ehhh... sama nie wiem od czego zacząć. - Obejrzała się przez ramię - Sieć działa. - Anna wpatrywała się w nią bez słowa
- Posłuchaj. Pewnie wiele słyszałaś o pięknie starego świata, o jego wspaniałościach. Pamiętasz też pewnie, że miejsce, w którym znajdowały się serwery było pilnie strzeżoną tajemnicą. Nieliczni wiedzieli gdzie to jest. Dziś nikt nie wie, ta wiedza rozpłynęła się jak wszystko inne razem z Ostatnim Oddechem. Ale serwery nadal pracują. Po prostu straciliśmy kontakt.
- Więc skąd ty o tym wiesz?
- Czuje ją. Tak ja my wszyscy.
- O czym ty gadasz? - Anna traciła cierpliwość. Poderwała się z łóżka. - Jacy my? Ja nic nie czuję!
- Nie mówię o tobie. - spuściła wzrok zawstydzona. - Odmieńcy.
- Odmieńcy to bezrozumne bestie. Nie jesteś taka jak oni.
- Nie, nie jestem. Nie jestem też człowiekiem. - uśmiechnęła sie smutno patrząc jej w oczy. - Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Sama nie wiem jak to się stało. Mutacje zawsze były dla nas zagadką. Nie potrafimy już ich badać. Ja wiem tylko tyle, że u mnie potoczyła się inaczej niż u większości. Jedno mam jednak z nimi wspólne, zyskałam dostęp do Sieci. Słysze ją, tak jak i ich wszystkich. Dzięki niej się porozumiewają, współodczuwają. Uważacie ich za zwierzęta, może i macie racje, ale każdy z nich ma dostęp do wiedzy, której odzyskanie zajmie wam setki lat.
- Po co mi to wszystko mówisz?
- Ja odchodzę. - starała się nie zdradzić emocji, ale głos jej się załamał. - Powtarzacie te wszystkie piękne hasła o wolności i równości, a nic z nich nie rozumiecie. Powiedz mi jak długo jeszcze byście czekali jakbym się tu nie pojawiła? - Anna nie potrafiła wyksztusić z siebie nawet słowa - Miesiące? Lata? Wieczoność? Nie chcecie równości. Chcecie nowego bata nad swoją głową. Tylko tym razem bardziej wyrozumiałego. Zabijecie Forbsa i co dalej? Mam zająć jego miejsce? Już zrobiliście ze mnie swojego nowego boga.
- To nie tak.
- Dokładnie tak. Myślisz, że kiedyś tak nie było? Piękny, wspaniały, stary świat. - powiedziała z wyraźną pogardą w głosie.
- Widzę je wszystkie. Rewolucje kończace się rzeziami. Dyktatorów zastępowanych przez innych dyktatorów, tylko z lepszym PR-em. Dzieci i starców pełnych rządzy władzy, i tych którzy zawsze ustępowali im z drogi. Ludzie nigdy nie chcieli być sobie równi. Potrzebujecie gorszych od siebie, by poczuć sie lepiej i lepszych, by zrzucić na nich odpowiedzialność. Właśnie dlatego do dziś siedzicie w kanałach, bo każdy z was boi się wziąć odpowiedzialność za swoje czyny.
- Nie mozesz odejść. Potrzebujemy cię. - oczy zaszły jej łzami.
- Muszę. Dobrze wiesz, że nie pasuję tutaj. Nie pasuję do was. Ale... - chwyciła ją delikatnie za nadgarstek i wsunęła do ręki fiolkę, którą przez cały czas trzymała w dłoni. - to dla ciebie.
- Co to? Nic już z tego nie rozumiem.
- Kiedy będziesz gotowa wypijesz i zrozumiesz wszystko. Poczujesz to co ja.
- Chcesz bym stała się... mutantem? - wiedziała, że te słowa ją zranią, ale była wściekła. Czuła się oszukana. Marzenia o zwycięstwie oddalały się z każdym wypowiadanym słowem, a ona nic nie mogła z tym zrobić.
- Ja nic od ciebie nie chcę. Ty będziesz tego chcieć. Siły, którą ci to zapewni. Będziesz mogła ich poprowadzić i wygrasz. Przecież o tym właśnie marzysz.
Anna chciała rozbić fiolkę. Podniosła dłoń, ale zawahała się. Dostrzegła ślad uśmiechu na twarzy Sary.
- Dokąd pójdziesz?
- Na zachód.
- Przecież tam nic nie ma. Tylko ruiny i pustka.
- I ocean. Zawsze chciałam zobaczyć ocean.

***

Siedziała nad stromym urwiskiem z książką w dłoni, porywisty wiatr gwałtownie szarpał kartki papieru. Nie przeszkadzało jej to, słowa znała na pamięć. Fale roztrzaskiwały się o skalisty brzeg zagłuszając cały świat, który został za jej plecami.

JollyRoger

Kilroy City



[1] Maxwell Street

Na schodach letniego domku przy Maxwell Street dało się słyszeć miarowe stukanie obcasów o powierzchnię paneli pokrywających schody prowadzące na drugie piętro. Dosyć już stare, ciemnoszare mokasyny były własnością Luc'a Wrighta, który zmierzał w kierunku swojej sypialni, gdzie miał nadzieję zastać Janet, dzierżąc w dłoni puste opakowanie po czekoladkach marki Charvey Sweets. Od 2136, czyli przeszło od trzech lat odkąd w życie weszła ustawa o obowiązku utrzymywania prawidłowej wagi ciała i rok po tym odkąd Janet nie mogła znaleźć wydawcy dla swojej nowej powieści, zamknęła się w pokoju i zaczęła zajadać swoje problemy. W podobny sposób reagowało większość obywateli nie mających dosyć pieniędzy, aby wysyłać dzieci do szkół, kupować jedzenie inne niż super-pomniejszone mrożonki Kartera, czy witaminowe dropsy Marley'a bądź ci zmuszeni czekać w odległych o kilometry od przedmieścia urzędach położonej w centrum Arizony, sponsorowanej przez przeróżne korporacje aglomeracji Kilroy City w oczekiwaniu na darmowe porcje butelkowanej wody. Woda bowiem – zwykła, najnormalniejsza na świecie woda od czasu, gdy temperatura na kontynencie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wzrosła o siedem i pół stopnia stała się największym towarem deficytowym. Morza przypominały teraz brudne bajora, lodowce były nimi już tylko z nazwy, a jezioro Michigan - nad którym Luc wraz z ojcem uwielbiał przesiadywać w jesienne popołudnia, łowić ryby i rozmawiać o najnowszej ofercie amortyzatorów z katalogu Jacksona przestało istnieć. Podobnie jak wiele państw trzeciego świata niezdolnych do dalszego prosperowania w obliczu suszy.

- Janet? Janet?
- Co się stało? – zapytała dość niechętnie, jednak widząc Luca stojącego w progu drzwi i wymachującego ostentacyjnie pudełkiem czekoladek zniżyła pod koniec nieświadomie ton swojej wypowiedzi.
- Co się stało? I ty się jeszcze głupio pytasz co się stało?
Luc rzucił opakowanie na łóżko i spojrzał ze złością na Janet. Ona zaś biorąc do ręki pudełeczko odruchowo cofnęła się o kilka kroków widząc wyraz jego twarzy.
- Jak tak dalej będzie to zbankrutujemy! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę ile mnie kosztują te twoje obżarstwa? Zżarłaś całe pudełko tych pieprzonych czekoladek, a nie minęła jeszcze dziesiąta. Za dwie godziny musimy się zważyć, czy ty zdajesz sobie w ogóle z tego sprawę?
- Nie przesadzaj, to tylko jed..
- Nie przesadzam! – wrzasnął Luc, po czym chwycił mocno nadgarstki Janet, aż wydała z siebie cichy jęk - Od roku nie robisz nic oprócz obżerania się tym świństwem i siedzenia w pokoju. Wiesz jak stoimy z budżetem, wiesz, że lada chwila mają redukować miejsca pracy, bo już prawie nikt nie używa spedycji lądowej. Nie mogę sobie pozwolić na ciągłe wydatki na ciebie!
- Co to znaczy? – zapytała lekko zszokowana
- To, że od dzisiaj przechodzisz na dietę.

Dokładnie o godzinie 12.04 waga Janet przekroczyła dopuszczalny dla jej wzrostu limit o przeszło 18 kilo, co oznaczało dodatkowe sto osiemdziesiąt dolarów do tygodniowego rozliczenia. Luc pozostawił to bez komentarza, zresztą bardziej był zdumiony swoimi wynikami. Sam postanowił przydzielać sobie mniejsze porcje w nadziei, że przez jakiś czas uda mu się zaoszczędzić na jedzeniu, aby zapłacić zaległe rachunki za swój „Trzeci Dom" - metalicznego sferomustanga z ,25, który stał zarekwirowany na policyjnym parkingu wskutek zaległych mandatów losowych, przydzielanych obywatelom o niskim statusie podatkowym. Mimo, że zdecydowanie nie podobała mu się ta nowa forma klasyfikacji społeczeństwa, wolał nie kwestionować niczyich zarządzeń, zresztą w przypadku aresztowania pod zarzutem spisku (co nie było niczym szczególnym), nie byłoby nikogo gotowego mu pomóc. Strażnicy pilnowali wyłącznie magnatów, tych zresztą było stać na osobistą ochronę i całkowity imminutet. Całe miasto centralne zapełnione było bogaczami nie muszącymi się martwić ani o stan swojego portfela, ani o restrykcje podatkowe. Luc zdawał sobie sprawę, że dopóki nie należy do tej grupy nie ma co się łudzić. Wziął więc swoją wytartą jeansową kurtkę, założył czapeczkę z logo firmy Chapman Company lekko przekrzywiając daszek w prawą stronę i wyjął prawie już puste opakowanie po papierosach marki Camay Light - po czym zapalił uroczyście jednego, prezentując miastu, że tej przyjemności nikt go nie ma prawa pozbawić.

[2] Kilroy City

- ... rozumiesz więc Luc, że nie robię tego z przyjemnością. Jesteś jednym z naszych najbardziej zasłużonych pracowników, masz najlepsze wyniki w całej północnej Arizonie...
- I dlatego chcesz mnie wyrzucić na zbity pysk? Tak traktujesz ludzi, którzy przez lata harowali jak wół, żeby ta firma mogła się rozwijać?
- Wiesz, że nie to mam na myśli - odpowiedział James, jednocześnie obracając piórem w lewej ręce - Spedycja powoli zaczyna upadać, podobnie jak dziesiątki małych firm nie mogących sobie pozwolić na potknięcia.

- Z tego co mi wiadomo nasza firma nie zaliczyła ostatnio żadnych „potknięć"?
- Nie jeżeli patrzysz z czysto biznesowego punktu widzenia Luc. Ale firma to nie tylko obrót wokół pieniędzy. Firma to także szacunek klienta do niej. Wizerunek firmy jest jej fundamentem...
- Aha, więc o to ci chodzi tak? - przerwał - Mogłeś od razu zaznaczyć, że przeszkadza ci Janet, a nie pieprzyć o zasługach dla Chapmana!
- Luc zrozum - nasza firma ma problemy. I nie są to TYLKO problemy finansowe. Wiesz, że nie chcę cię obrażać, ale każdy pracownik jest częścią wizerunku firmy, a Janet...
- Janet go psuje tak? Zamierzasz mnie wywalić tylko dlatego?
- Przykro mi Luc - rzucił James, przesuwając po wypolerowanym blacie biurka wymówienie - prosiłbym cię o podpisanie tutaj - wskazał piórem na małą linię, która oznaczała 400 dolarów odprawy i kilkugodzinne postoje w urzędach pracy.
- Tak. Tobie jest przykro...

Kiedy tracisz coś ważnego, nieistotnym jest jak wielkie straty poniosłeś. Zawsze w zamian dostajesz umiejętność analizy wszystkiego z nadzwyczajną wręcz dokładnością. W przypadku Luca Wrighta miało to co prawda związek z utratą pracy i wynikającym z tego nadmiarem czasu do zagospodarowania, lecz bardziej chodziło o magiczne spowolnienie rzeczywistości. Dzień nie polegał już na regułce „Wstań, pracuj, kupuj - konsumuj i wyciągnij nogi". Dzień nie polegał na porannym śniadaniu o 6.30 i dziesięciominutowym czekaniu na światłach przy skrzyżowaniu Maxwell Street i Huntington Road. Dzień nie polegał na masie papierkowej roboty do wypełnienia i podpisywaniu kurierskich papierków, kiedy to jakiś najczęściej niekończący szkoły średniej młokos przywoził nowe dostawy.

Nie chcąc tracić resztki pieniędzy i nerwów Luc zrezygnował więc z wyprawy do będącego w zasięgu wzroku postoju taksówek. Wybrał letargiczną wyprawę przez miejską dżunglę. W jakiś dziwny sposób sprawiało mu to nawet przyjemność. Codzienność, którą przeżywał, była tak na prawdę codziennością którą mijał. Hej - w końcu kiedy ostatni raz widziałeś kobietę wyrzucaną z busu za przekroczenie dozwolonej wagi? Zabawa na całego prawda? Na pewno dla urzędnika, który wpadł na taki pomysł twierdząc, że przez zbytnie „przeciążenie" jak to określił w ładnym, politycznym języku psują się miejskie środki lokomocji. Fajnie.

Przechodzenie przez coraz to brudniejsze przedmieścia, zerknięcie na mury otaczające miasto właściwe, miasto bogatych, miasto bez skazy - Witamy w Kilroy City! Rzut oka na dziurawe ogrodzenia dzielące slumsy od reszty normalnego świata, gdzie prochy kupisz taniej od chleba. Dzieciaki siedzące w bramach, ogrzewające się przy niewielkich ogniskach, popijające tanie wino z najbliższego sklepu i w końcu dzieciaki wychodzące z podrzędnych restauracji ze zdrową żywnością McDonalda. Fajnie. Maxwell Street.

[3] Age Of Adz

- Tak, tak - Rick uważaj trochę z tym cholerstwem! Za bogaty jesteś, czy co? Trochę w prawo. Nie idioto - w prawo! Ok jeszcze tylko...
- Myślisz że piąta będzie ok? Janet wiesz, że jak coś to plan będziemy mogli zmienić dopiero za miesiąc przy wypłacie.
- Przecież wiem, nie musisz my tego ciągle przypominać - odrzekła, lecz mina pana Wright zdawała się zdradzać, że nie był o tym całkowicie przekonany. Luc rzucił niepewne spojrzenie na Janet, po czym przeniósł je na plan dnia i dwa wnoszone właśnie fotele w kolorze zgniłej trawy. Tak - brakowało tylko telewizora.
- Okej panowie, tylko teraz uważajcie, bo jak coś stanie się temu maleństwu, to szef nam jaja urwie. - ostrzegł nadzorca, następnie zwracając się do swojego ulubieńca - Przestań wietrzyć te zęby Rick, tylko bierz się cholera do roboty!
Chwilę później czterdziestocalowy odbiornik stanął wreszcie na pożądanym miejscu i co lepsze dla Ricka i jego kolegów - będą mogli zatrzymać swoją własność.
- Boże co za dzieciak! - rzucił gruby kierownik ruszając w stronę Janet i Luca - I jak? Państwo już ustalili co trzeba?
Widząc lekkie skinienie głową pani Wright wyjął z tylnej kieszeni spodni paczkę papierosów częstując przy tym Luca, po czym dodał - Okej, więc pani łaskawa będzie podpisać tutaj, a pan - panie Luc tutaj.
Wright wymienił z Janet jeszcze jedno niepewne spojrzenie po czym zapytał:
- Kiedy jest możliwa zmiana planu?
- Ohoho. Pan szanowny jeszcze nie zaczął, a już chce zmieniać! - parsknął kierownik ukazując przy tym paletę żółtych, zniszczonych nikotyną zębów - Zmiana możliwa jest po każdym okresie rozliczeniowym, to jest co miesiąc znaczy się. Państwo czytali regulamin, ale musze jeszcze przypomnieć warunki umowy.

Tym razem to Luc skinął lekko powoli już łysiejącą czupryną, po czym rzucił nieśmiałe „w porządku".
- Okej, a więc tak... umowa z miastem Killroy City zawarta jest na okres 18 miesięcy - to znaczy 2 lata, podczas, której pań-

stwo są zobligowani do wykonywania ustalonego przez siebie dziennego planu, oczywiście z możliwością jego zmiany co miesiąc, jak już wcześniej wspominałem.
Kierownik spojrzał w kierunku telewizora, zgasił niedopałek w popielniczce, po czym kontynuował:
- Bloki reklamowe miasta będą wyświetlane całą dobę, zgodnie rzecz jasna z państwa ustalonym planem, respektując przerwy na posiłek i toaletę. Aha - dodał ostrzegawczo - w fotelach, są wbudowane czujniki przesyłające cały dzień sygnały do naszego centrum, więc gdyby komuś zachciało się nie przestrzegać planu dnia - stanowczo odradzam. Państwo czytali zapewne w umowie, że wystarczy jeden taki incydent i pieniążki przepadają z konta. Aby centrum było zasilane cały czas, miasto nie może pozwolić sobie na żadne przerwy w dostawie energii - rozumieją państwo. To zaszczyt tak zasłużyć się społeczności, a na to miejsce czekają setki ludzi. Pan, panie Luc miał szczęście - no i oczywiście wysokie referencje, więc niech pan nie zmarnuje tej szansy.
No to co - rzucił wesoło - gotowi? To proszę siadać, seans się zaraz zacznie, pierwszy blok reklamowy puszczą za niecałe trzy minutki, wiec całuję pani rączki i pana szanownego żegnam - po czym uścisnął energicznie rękę Luca o mało mu jej nie łamiąc - i życzę miłego dnia!

Dźastin

Gabriel



Odwiedzałam go jak zwykle w sobotę. Najpierw kilkugodzinna podróż autobusem, potem dwa kilometry marszu, rejestracja, kontrola, wreszcie schodami na drugie piętro i ostatnie drzwi po prawej na końcu korytarza. Gdy wyjeżdżałam z Piaskowa było spokojnie. Słońce skryło się gdzieś za chmurami od czasu do czasu pokazując światu złoty języczek. Droga prowadziła przez niezamieszkałe tereny. Oparłam skroń o twardy zagłówek fotela i wpatrywałam się w dobrze znane lasy i pastwiska. Ciemnozielona trawa pod wpływem słońca nabierała soczystego odcienia, by po chwili znowu pociemnieć pod wpływem ciężkiego cienia. Były to jakby dwa światy: jeden jasny, radosny, wiosenny i pełen słońca, a drugi smutny, szary, pogrążony w żałobie i oblany zimnem. W głębi łąki, pod lasem zawsze biegały konie. Uwielbiałam podziwiać te silne, piękne zwierzęta, ich lśniącą w słońcu sierść i rozwianą w galopie grzywę. Tym razem kasztanowa klacz nie pędziła z wiatrem, lecz szła majestatycznie prowadząc za sobą młode źrebiątko. Ledwie trzymające się na cieniutkich nogach zwierzę potrząsało łbem i podskakiwało niezdarnie za matką. Przez szybę nie słyszałam rżenia, ale wyobraziłam sobie jak mały naśladuje matkę także w tej czynności.
Autobus mknął na tyle szybko, że po chwili straciłam z oczu konie. Wjechaliśmy w gęsty las. Miałam wrażenie, że zapada noc. W szybie widziałam niewyraźne odbicie własnej twarzy i łzy spływające po policzkach. Ocknęłam się. Nie, wcale nie łzy. Padało coraz mocniej, a wielkie krople wody zaczęły strużkami spływać po brudnej szybie. Przyłożyłam dłoń do zimnego szkła. Lekkie kołysanie i wark silnika wprawiały mnie w senny nastrój.
Wysiadłam i pobiegłam prosto na przystanek po drugiej stronie wąskiej szosy. Dotyk deszczu podziałał na mnie orzeźwiająco. Włożyłam na głowę kaptur szarej, spranej bluzy i wyszłam na otwartą przestrzeń. Żywej duszy, myślałam, i dobrze. Musiałam wyglądać jak idiotka. Czułam, jak po czole spływały mi krople wody, wdzierały mi się do oczu i ust spadały z krawędzi nosa i brody prosto w dekolt, wsiąkały w ubranie i kapały z końcówek pasm czarnych włosów. Drzewa spotężniały nabrzmiałe wszechobecną wilgocią, a ich liście uginały się pod jej ciężarem. Świat tonął, a ja szłam szybko i zdecydowanie, nie zważając na kałuże. Choć było lato czułam dreszcze przebiegające po plecach, a przy każdym wydechu widziałam ulatującą z ust parę. Jej mgliste kłębki unosiły się w górę na kilka sekund i rozpływały w ciężkim powietrzu niczym dusza uciekająca z ciała ku wieczności. Dziwne, pomyślałam i uśmiechnęłam się z ironią, moja ulatuje w ten sposób stopniowo, po kawałku całe siedemnaście lat, a jeszcze nie udało jej się mnie zostawić. Czy niknie tak cząsteczka po cząsteczce, a kiedy umrę pozostała część nie będzie się miała już z czym połączyć i też rozpłynie się w ziemskim powietrzu nim doleci do Nieba? Przyspieszyłam kroku, gdy poczułam wzbierające się w oczach łzy. Po co tam idę? Czy to ma jakiś sens? Czy kiedykolwiek miało? Bałam się odpowiadać. Moje życie wcale nie mam sensu. Naciągnęłam rękawy na poranione nadgarstki i zacisnęłam pięści. Nigdy więcej tego nie zrobię, to ostatni raz, myślałam gorączkowo, ostatni.
Zaczęłam biec, mimo że brakowało mi tchu. Krztusiłam się wodą i własnymi łzami. Czułam ból w płucach, ale nie potrafiłam się zatrzymać. Tak, ostatni. Muszę w końcu zapomnieć. Wszystko mija. Kto mi do cholery powiedział, że wraca?
Wpadłam do budynku zdyszana i przemoczona do granic możliwości. Ludzie patrzyli na mnie z żalem i współczuciem. Tak nienawidziłam tych spojrzeń. Skierowałam się do łazienki. Zdjęłam mokrą bluzę i osuszyłam twarz. Z włosów wiąż kapała woda. Zacisnęłam pięść na mokrych pasmach wyciskając jej nadmiar. Spojrzałam w lustro. Spływający tusz do rzęs zostawił na moich policzkach brzydkie zacieki, które w połączeniu z posiniałymi ustami i spuchniętymi oczyma wyglądały naprawdę żałośnie. Poczułam wstrząsający mną dreszcz i odrywając spojrzenie od postaci w lustrze podeszłam do kaloryfera.
Chwilę później wymknęłam się z toalety cicho jak kot i ruszyłam wolnym, posuwistym krokiem wzdłuż korytarza.
- Przepraszam panią... - usłyszałam. Powoli się odwróciłam. Młoda kobieta o czekoladowych tęczówkach wpatrywała się we mnie z oczekiwaniem. Jej twarz była łagodna, gładka, bez wyrazu, jak gdyby nie zauważała mojego stanu, jakby dopiero co sama obudziła się z długiego, mistycznego snu. Była ładna. Miała jasną cerę, ciemne, upięte z tyłu głowy włosy, których oswobodzone kosmyki opadały łagodnie na czoło i skronie podkreślając owal twarzy. Delikatne rysy kontrastowały z pełnymi, naturalnie czerwonymi ustami i dużymi, ciemnymi oczyma. - Musi pani podpisać kartę odwiedzin.
Patrzyłam na nią ze zdziwieniem, jakby to jej obecność i jej wygląd były nie na miejscu. W tych niezwykłych oczach dostrzegłam jakiś cień. Na moment, dosłownie ułamek sekundy pozwoliła, by jej ciałem zawładnął ludzki odruch, ale opanowała się i jej twarz znowu stała się niewzruszona. - Proszę pani... - powtórzyła.
Zdałam sobie sprawę, że cały czas mam zaciśnięte zęby.
- Ach, tak - powiedziałam. - Tak...
Podeszłam do biurka, a kobieta podała mi długopis. Aleksandra, przeczytałam na plakietce, przypiętej do ubrania. Złożyłam podpis.
- Dziękuję - powiedziała zupełnie innym głosem niż na początku. Chciałam się do niej uśmiechnąć. Tak, jak to się robi w urzędach, banku, na poczcie, gdzie wszyscy są mili, choć nic ich nie obchodzi. Tutaj tak się nie da. Ludzi obchodzi znacznie więcej, ale nie potrafią być mili. Aleksandra spuściła oczy udając, że szuka czegoś w papierach.
Ruszyłam wolnym krokiem w kierunku schodów. Krótka rozmowa i podpisanie dokumentu pozbawiły mnie wszystkich sił.
- Dziecko, jak ty wyglądasz! - Usłyszałam znajomy głos pani Popławskiej, przez którą zostałam zaciągnięta do bufetu. - Napijesz się herbatki? - Spytała nie oczekując odpowiedzi. - Czarnej, zielonej, owocowej?
Nie miałam siły odmówić. Kiwałam głową jak posłuszne dziecko, a ona prowadziła mnie za rękę.

- Daj, to mokre - powiedziała wyjmując mi bluzę z zastygłej dłoni. - Może ciasta?
Kiwałam głową wcale nie słuchając jej słów i dałam sobą kierować. W następnej chwili siedziałam już na wysokim krześle przy małym, okrągłym stoliku, a przede mną stała filiżanka herbaty, której mocny aromat drażnił mi nozdrza.
- Pij - nalegała troskliwie. - Że też wybrałaś się tu w taką pogodę, taki kawał drogi... - kręciła głową.
Przyjechałam autobusem, chciałam wytłumaczyć, wcale nie padało... Pomyślane słowa nie trafiały do ust.
- Mogłaś poczekać, aż przestanie lać - powiedziała spoglądając przelotnie w okno. Jej siwe włosy miały teraz barwę identyczną jak życzliwe, łagodne szare oczy, które zaczęły bacznie mi się przyglądać. - No pij! I zobacz już nie pada. - Dodała jakby czytając mi w myślach. Zawsze taka była. Jak druga mama, kochająca babcia... Nie tylko dla mnie, dla wszystkich. Czasami czułam nawet zazdrość, że to nie mi proponuje świeże drożdżowe ciasto, nie do mnie się uśmiecha. Pamiętam moją pierwszą wizytę, jej pierwsze słowa...

- Dobrze ci radzę dziecko, wracaj do domu. to nie jest miejsce dla ciebie.
- Ale ja przyjechałam w odwiedziny do kolegi.
- Twój kolega tu jest? - Zdziwiła się. - Biedny chłopiec...
- Słucham?
- Nic, nic.
Spojrzałam na nią wrogo.
- Tylko na razie. Niedługo wychodzi.
Popatrzyła mi w oczy. Spodziewałam się, że zaprzeczy, ale ona uśmiechnęła się lekko i pogłaskała mnie po głowie. - Więc może zjesz sernika? - Spytała niespodziewanie.
Siedziałam, tak jak teraz, przy okrągłym stoliku z apetytem jedząc pachnące ciasto. Spoglądałam przez okno na zielony dziedziniec, ogrodzenie i przechodzących szybkim krokiem ludzi. Była późna wiosna, świeciło słońce, a ptaki bawiły się w ganianego sfruwając z gałęzi, odbijając się od ziemi i wirując w powietrzu. Co jakiś czas odwracałam głowę od okna i napotykałam jej uważne spojrzenie.
Przychodziłam regularnie, w każdą sobotę i zamawiałam w bufecie ciasto i herbatę. Kiedy spróbowałam już każdego wypieku i wszystkich rodzajów napojów, kiedy nadeszła zima, a dziedziniec pokryła warstwa śniegu, znikły ptaki i słońce, było mi coraz bardziej smutno. Siedziałam samotnie patrząc w okno, a wtedy po raz pierwszy miła starsza pani z bufetu przysiadła się i położyła mi ciepłą dłoń na nadgarstku. Wyrwana z zamyślenia ze zdziwieniem spojrzałam w jej stronę.
- Herbata ci wystygnie, dziecko - powiedziała łagodnie.
Rozmawiałyśmy o pogodzie, o ptakach, o ludziach chodzących ulicą, a wreszcie o ludziach w bufecie, w szpitalu i o wszystkich ludziach na świecie.
- Ich tu po pewnym czasie już nikt nie odwiedza - powiedziała w pewnym momencie pani Popławska odbiegając od tematu.
- Kogo? - spytałam, mimo iż dokładnie wiedziałam o co chodzi.
- Po pewnym czasie przestają ich odwiedzać przyjaciele, rodzina, a w końcu porzucają ich własne matki. Pracując tu w bufecie często widywałam zapłakane matki i pocieszających je mężów, chodzące w żałobie, mimo że nikt nie umarł żony, mężów o twarzach bez wyrazu. Pojawiają się coraz rzadziej, mają coraz więcej zmarszczek, coraz bledsze twarze i puste oczy. Chodzą coraz wolniej, mówią coraz mniej, by w końcu niepostrzeżenie zniknąć i rozpocząć nowe życie.
Słuchałam tych słów w oniemieniu i wpatrywałam się w blat małego stolika.
- Po jakim czasie...? - zaczęłam cicho i umilkłam. Przypomniałam sobie panią Orłowską otwierającą mi drzwi domu, jej uśmiechniętą twarz, która pociemniała na mój widok i przybrała wyraz zdenerwowania, gdy spytałam o wizytę u syna. Przypomniałam sobie jej słowa "w tym tygodniu nie jedziemy. Kuba ma zawody w szkole.", trzaśnięcie drzwi zanim zdążyłam zareagować i łagodnie wypowiedziane, ale ostre słowa miłej pani z bufetu "ich nikt nie odwiedza". Podniosłam oczy. Pani Popławska patrzyła w okno podpierając głowę na ręce. Przez głowę przebiegła mi myśl, że pewnie jest wariatką pracując tu tyle czasu, ale po chwili zrobiło mi się jej żal. Była samotną kobietą.
- Ty jesteś inna - powiedziała po chwili zwracając się w moją stronę. - Żadna dziewczyna nie wytrzymała tu tak długo. Kochasz go, prawda?
- Tak - odpowiedziałam ledwie słyszalnie - kocham.
Poczułam gorącą łzę spadającą na wierzch opartej na blacie dłoni i miękki dotyk jej palców.
- Płacz dziecko, to pomaga - powiedziała. - Wiem, że nigdy nie płaczesz, więc płacz teraz, nie wstydź się łez.

Poczułam, że nie powinnam teraz siedzieć. Nie w tym momencie.
- A budyń? - spytała, gdy wstałam gotowa do wyjścia.
- Wezmę - odrzekłam z uśmiechem podnosząc pucharek z parującą, ciemną papką. - Bardzo pani dziękuję. Do widzenia.
- Łyżeczka! - zakrzyknęła z mną. - I bluza.
- Ach - uśmiechnęłam się. - Dziękuję.

Pobiegłam na górę po schodach. Zatrzymałam się dopiero przed drzwiami. Lekarz, który wyszedł z sali naprzeciwko powitał mnie kiwnięciem głowy. Przywołał na twarz lekki uśmiech, ale w jego oczach widziałam to samo współczucie, którym obdarowywali mnie ludzie na korytarzu. Odpowiedziałam mu lekkim uśmiechem siląc się na naturalność. Odszedł, a ja nacisnęłam klamkę.

Jak zwykle siedział na dużym parapecie i spoglądał przez okno. Weszłam powoli i zamknęłam za sobą drzwi. Pokój od dawna wyglądał tak samo. Pomalowane na błękitny kolor, wyblakłe ściany, łóżko, stolik, szafa. Byłoby nawet przytulnie, gdyby nie krata na oknie i brudna szyba.
- Cześć - powiedziałam z udawaną radością. Dawid nie poruszył się. - Pani z bufetu dała mi budyń. Chcesz trochę?
Potrzasnął głową, a długie, brudne kosmyki zakołysały mu się nad czołem i grubymi, ciemnymi brwiami, które niegdyś tak mi się podobały.
- Czekoladowy - zachęciłam go.
Nie zareagował zajęty rysowaniem palcem na zaparowanej szybie nic nie znaczących hieroglifów.
- Ok. Na pewno ciekawi cię co słychać w Piaskowie, hm? Twój brat nieźle wyrósł. Graliśmy ostatnio w nogę, a on pokonał mnie 5:1. Powiedział, że zostanie piłkarzem jak Torres i Messi - zaśmiałam się. - Może następnym razem przyjedzie ze mną cię odwiedzić, co ty na to? - Byłam przygotowana na to milczenie, ale teraz zaczynało być trudne. Zbyt głębokie i zbyt długie. Westchnęłam głośno. - Niewiarygodne, jacy jesteście podobni, a przecież on na pewno cię nie pamięta, Obiecuję, że go przywiozę - powiedziałam żywo i chwyciłam go za rękę. - Ok? może zagramy razem?
Spojrzał na mnie z niechęcią i wyszarpnął dłoń z mojego uścisku. Odwrócił się do okna kontynuując rysowanie na mokrym szkle.
- Tak naprawdę... - zaczęłam i urwałam. Co miałam mu powiedzieć? Wszyscy go opuścili. Nawet własna matka. Czy ja też miałam złamać obietnicę? Nie jeszcze nie teraz. Następny raz będzie ostatni. Przywiozę tu Kubę, obiecałam.

- Ślicznego masz braciszka - powiedziała pani Orłowska głaszcząc Kubę po głowie. - Widziałeś jak pięknie rysuje?
Dawid oderwał wzrok od ekranu telewizora i niechętnie spojrzał na trzymany przez matkę nieciekawy rysunek. - No... - mruknął i wrócił do oglądania meczu.
- A ty Kasiu?
- Tak śliczny rysunek - powiedziałam podchodząc do pięciolatka. - Cioci też coś narysujesz?
- Nie - odpowiedział brzdąc stanowczo i wyszarpnął mamie rysunek z ręki. - Pobaw się za mną dinozaurami.
Dawid stłumił wybuch śmiechu. – Tak, tak, nie ma co. Anioł nie dziecko - powiedział parodiując panią Marzenę.
- Dawid, skończ lepiej z tym telewizorem. koleżanka do ciebie przyszła, a ty oglądasz znowu te mecze!
- Mamo, nie mecze, tylko finał ligi mistrzów. Najważniejszy mecz w tym sezonie, a poza tym to już ostatnie minuty. - spojrzał na mnie szukając zrozumienia i uśmiechnął się przelotnie, po czym odwrócił głowę do telewizora. Pani Marzena machnęła ręką i zwróciła się do mnie - może herbatki?
- Bardzo chętnie – powiedziałam z uśmiechem i podążyłam za nią do kuchni spoglądając przez plecy na Dawida śledzącego rozgrywki na ekranie. Westchnęłam cicho.

Ze wspomnień wyrwał mnie szczęk klamki. Do sali weszła pielęgniarka. Była młoda, miała długie, lśniące włosy i pogodny uśmiech, który wyglądał nienaturalnie w połączeniu z smutnymi oczyma.
- Cześć David. Przyniosłam ci lekarstwa - powiedziała - i wodę smakową. Truskawkową. Twoją ulubioną. - Spojrzała na mnie przelotnie. Uśmiechnęłam się.
- Proszę zostawić. Poradzę sobie. - powiedziałam cicho, a ona niepewnie wręczyła mi tacę.
- Jak dobrze, że jeszcze ty tu jesteś. Teraz już nikt do niego nie przychodzi.
Odeszła powoli odwracając się jeszcze przy drzwiach i posyłając mi kolejny szeroki uśmiech.
- Pa Dawidku. - rzuciła pospiesznie, po czym wymknęła się z pokoju. Dawid odwrócił głowę od mokrej szyby i odprowadził ją wzrokiem. Przez chwilę wpatrywał się w drzwi rysując ich kształt palcem w powietrzu.
- Nie słuchaj jej - warknął nagle, a ja omal nie spadłam z krzesła. - Oni mnie odwiedzają - powiedział z czułością odwracając się do szyby.
- Kto?
Uśmiechnął się pokazując wszystkie proste i białe zęby. Przez moment wyglądał jak kiedyś. Jak zawsze, gdy w tamte dni, pełne leniwego słońca chodziliśmy na długie spacery i rozmawialiśmy godzinami o głupotach jak dobrzy przyjaciele. Tym jednym uśmiechem sprawił, że ponury, szpitalny pokój napełnił się tym letnim, jasnym słońcem, tą beztroską radością i leniwą czułością. Dosłownie na sekundę... Potem widziałam już tylko głupkowaty uśmiech wariata.
- Kto cię odwiedza? - spytałam ponownie.
- Żal, Lęk i Cierpienie. Oni są moimi najlepszymi przyjaciółmi. Czasami przychodzą także Aniołowie, a Gabriel niemal co-

dziennie. Tylko on tak naprawdę mnie kocha.
Słuchałam jego słów z niedowierzaniem. Już nawet zapomniałam jak brzmi jego głos. Jego ton był ciepły, pełen miłości i marzeń.
- Kim jest Gabriel?
- Jak to, nie wiesz? - spytał otwierając szeroko oczy. Odgarnął ręką włosy z czoła, wstał i zeskoczył na środek pokoju. - Gabriel to Anioł. MÓJ Anioł. Opiekował się najwspanialszymi ludźmi w ciągu wieków, istnieje od samego początku świata, a teraz jest moim aniołem... i... mnie kocha. Powiedział mi to.
- To cudownie. - Uśmiechnęłam się, lecz on nagle spoważniał i z dzikością spojrzał mi w oczy.
- Nic nie rozumiesz - wycedził przez zaciśnięte zęby, a w jego oczach zapłonęła wściekłość.
- Dawid, więc mi wytłumacz Przecież się przyjaźnimy - powiedziałam nieco podniesionym ze zdenerwowania głosem. Ponownie delikatnie się uśmiechnął i spojrzał na mnie badawczo. Jego błękitne tęczówki rozjaśniały i sprawiały wrażenie radosnych. W tym samym momencie zza chmur wyszło słońce, które oświetliło jego brudne włosy i napełniło szary pokój ciepłym światłem.
- A to stare dzieje - machnął ręką - ale dobrze opowiem ci.
Zanim zaczął uważnie mi się przyjrzał się i usiadł wygodnie po turecku na szpitalnym łóżku. Poklepał miejsce obok siebie mówiąc:
- To poufna rozmowa, usiądź bliżej.
Powoli wstałam i zajęłam wskazane przez niego miejsce. Na prawym ramieniu, które niemal stykało się z jego ciałem czułam bijące od niego ciepło, a na policzku delikatne pocałunki słońca.
- To trudne do opisania. To co chcę ci powiedzieć... - spuścił wzrok. - To jak uczucie, którego nie możesz wyznać. Czujesz coś w sercu i wiesz, co to, ale boisz się to nazwać, bo dopiero imię budzi ten straszliwy lęk. Nie ma na świecie gorszego bólu, niż ten, który czujesz, gdy wiesz, że ktoś, kogo... Kogo - spojrzał na mnie - kogo kochasz nie może być z tobą. Chce tego z całego swojego istnienia, ale to właśnie ono mu na to nie pozwala. Nieśmiertelność. Każdy z nas może ją osiągnąć, ale jakim kosztem... - przysunął się jeszcze bliżej i chwycił mnie za ramiona. - Odważyłabyś się?
- Na co?
- Sięgnąć po nią. Po Nieśmiertelność.
- W jaki sposób?
- Jest tylko jeden... Musisz oddać to, co ci przeszkadza, to co ciąży. Potrafiłabyś? Gdybyś nie miała nic do stracenia.
- Nie mam nic do stracenia - szepnęłam cicho, a on zerwał się i zaczął się histerycznie śmiać.
- Masz... Masz dużo do stracenia. Kochasz to wszystko. Kochasz życie. - Ostatnie słowa wypowiedział z pogardą. Dopiero wtedy tak naprawdę zorientowałam się o czym mówił.
- A ty go nie kochasz?
Podszedł do mnie i usiadł z powrotem na swoim miejscu. - Ja? Przecież ja umarłem. W połowie już umarłem i nigdzie nie należę. Jestem cząstką jednego świata zgubioną w innym i już sam nie wiem gdzie powinienem być.
- Co ty mówisz? Przecież żyjesz, chyba nie chcesz...
- Ty tego nie wiesz, ale ja tak. Powiedział mi, choć to tajemnica.
- Co powiedział?
- To tajemnica.
Spojrzałam na niego przerażonym wzrokiem.
- Gdybym mógł, powiedziałbym ci... Gdybym mógł...
- Co to za tajemnica?
- Tajemnica świata. Nigdy nie odkryta tajemnica życia. Znam ją tylko ja. Pewnie dlatego, że już nie jestem człowiekiem.
- Dawid proszę - rzekłam cicho czując, że wzbierają mi się łzy. Nie mogłam już tego powstrzymać. Poczułam, że obejmuje mnie i głaska po głowie.
- Dobrze. Już dobrze. Powiem ci. Choć już na zawsze będę potępiony, to nic. Z nim nawet potępienie jest rozkoszą. Spójrz na mnie. Gabriel wyznał mi prawdę. Ja powinienem był zginąć. To było zamierzone od początku. Taki był plan. On pokochał mnie już na początku świata i czekał całą wieczność na moment, w którym będzie mógł mnie posiąść, ale coś się nie udało. Utknąłem tu i teraz nawet on nie może mi pomóc. To cudowne uczucie, kiedy przychodzi i ze mną rozmawia, kiedy mnie dotyka, a ja wyobrażam sobie jakie to wrażenie.
- Jak on wygląda? - zapytałam nagle odruchowo.
- Jest piękny. Jego urody nie da się opisać. Nie można go dotknąć, ale można poczuć jego ciepło, słyszeć jego jedwabisty głos, widzieć bijący od niego blask.
- Gdybyś z nim odszedł... Gdybyś umarł byłbyś szczęśliwszy?
- Niż tu? Nie.
- Dlaczego?
- Bo Miłość, to Cierpienie. Nawet Miłość siebie nie kocha. Dlatego jeszcze nie zdecydowałem się uciec. Tu mogę się z nim

spotykać. Boję się tego, co by się wtedy stało.
- A ty też go kochasz? – Raczej stwierdziłam niż spytałam.
- Całym swoim istnieniem...

Droga z mojego domu do pobliskiego jeziora była wymarzonym miejscem na letnie spacery. Piaszczysta i wąska w pewnym momencie zamieniała się w brukowaną alejkę osłoniętą rosnącymi po obu stronach pachnącymi akacjami. Było daleko. Na pewno ponad pięć kilometrów, ale idąc z Dawidem miałam wrażenie, że to zaledwie kilka kroków. Czasami nawet samotnie wychodziłam z zamiarem przemyślenia jakiejś sprawy i nagle, w niewiadomy sposób znajdowałam się na dzikiej plaży. Gdy tylko słońce uzyskało trochę siły, by ogrzać nieruchome powietrze, wychodziłam tam niemal codziennie.
- Wymarzony dzień na spacer prawda? - usłyszałam za sobą znajomy głos.
- Cześć. Co tu robisz?
- Właśnie mówię. Spaceruję. - Dawid uśmiechnął się w sobie tylko właściwy sposób. - Wolniej siostrzyczko, wolniej. Zawsze tak szybko chodzisz.
- Nie nadążasz? - Zażartowałam.
- Cieszę się wiosną, a ty tak pędzisz. Zatrzymaj się i spójrz. Przyjrzyj się jak wygląda. Tam - wskazał palcem - rośnie młodziutka trawa. Widzisz? Jaka soczyście zielona i delikatna? I tutaj. Już są pączki na gałązkach.
- Dawid!
- Tak?
- Dawid.
- No ok. Wiem. Jestem za bardzo romantyczny?
- Bardzo, bardzo, za bardzo. Jak Mickiewicz albo Goethe.
- To przez wiosnę. Zakochałem się.
Te słowa wywołały u mnie szybsze bicie serca i dziwny niepokój. Zmieszałam się, ale on tego nie zauważył wpatrując się w dal zmrużonymi od słońca oczyma.
- Znam ją? - zapytałam zalotnie.
- Tak. - Dawid spojrzał na mnie z uśmiechem. - To Maja.
Nie mogłam uwierzyć w to co słyszę. Maja, to moja przyjaciółka. Przyjaciółka od zawsze. Nie mogłam mieć jednak żalu do żadnego z nich. Nikomu nie powiedziałam o swoim skrywanym uczuciu.
- Zaskoczyłem cię – powiedział Dawid zauważając moje zamyślenie – widzę to.
- Tak, trochę – powiedziałam.
- Ale cieszysz się?
- Oczywiście – uśmiechnęłam się. Pragnęłam z całej siły, by w tym przypadku słowo stało się ciałem.
- To dobrze. Wiesz, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką i gdybyś miała jakieś zastrzeżenia zastanowiłbym się dwa razy zanim wybrałbym dziewczynę.
Roześmiałam się.
- Nie śmiej się. Mówię prawdę. Prosto z serca.
Spojrzał mi prosto w oczy. Gdyby tylko wiedział jak to bolało… Nie, lepiej, żeby nie wiedział.
- Kochasz ją, prawda?
- Oczywiście – powiedział i spojrzał w dal – całym swoim istnieniem.

Przypomniawszy sobie te słowa i tę chwilę, poczułam, że muszę już iść. Wstałam, a Dawid chwycił mnie za nadgarstek. - Dokąd idziesz?
- Jest już chyba trochę późno. Muszę się zbierać.
- Zostań. On niedługo przyjdzie. Nie chcesz go zobaczyć?
- Chcę. Oczywiście, że chcę. - usiadłam na łóżku. W tej chwili przypomniałam sobie o lekach, które miał zażyć.
- Dawid, pamiętasz nasze spacery i twoje cukierki, którymi mnie częstowałeś? Pani Magda przyniosła ci je – wskazałam na tacę z lekami.
Roześmiał się i wyciągnął wygodnie na łóżku. – Myślisz, że ta jędza przyniosłaby mi moje ulubione cukierki? Czasami mam wrażenie, że to wysłannica Diabła, która mnie śledzi i chce zabić. – Sięgnął po kolorową tabletkę i przyglądał jej się przez chwilę obracając w palcach. – Może mu na to pozwolę.

Wyszłam ze szpitala wieczorem, kiedy moja komórka zaczęła wydzwaniać jak szalona. Przez całą drogę do domu ojciec i ja nie odezwaliśmy się do siebie. Było tak w gruncie rzeczy od samego wypadku. Moi rodzice prawdopodobnie nie wiedzieli jak zachować się w stosunku do mnie, która niemal równocześnie straciłam dwoje najbliższych przyjaciół. Od po-

nad roku w moim domu panowało to milczenie i napięcie. Każdy starał się nie wchodzić innym w drogę, a kiedy już taka sytuacja się zdarzyła dochodziło do kłótni. W końcu każdy starał się jak najmniej czasu spędzać z rodziną, a nikt już nie pamiętał dlaczego tak jest.
Słońce zachodziło już oświetlając kłębiaste chmury i szarzejące niebo. Efekt był naprawdę wspaniały. Siedziałam z policzkiem przyciśniętym do zimnej szyby i marzyłam, by jak najszybciej znaleźć się w domu i zamknąć w swoim pokoju. Za dużo osób spotkałam jak na jeden dzień. Bałam się myśli o powrocie do szkoły, w której od jakiegoś czasu traktowano mnie jak wariatkę. Obiecałam sobie wyjść jutro i zrobić kilka zdjęć.
Kiedy dotarliśmy do domu wysiadłam i z furią trzasnęłam drzwiami samochodu. Nie byłam zła. To był raczej akt samoobrony. W stronę otwartych drzwi do kuchni rzuciłam tylko krótkie „nie jestem głodna" i pobiegłam na górę. W moim niesprzątanym od miesięcy pokoju panował już półmrok. Weszłam do łóżka i nakryłam się cała kołdrą. Nawet tu nie czułam się bezpieczna. Pragnęłam jak najszybciej zasnąć, ale jak każdego wieczoru zaczęły do mnie powracać wspomnienia. Kiedy tylko zamknęłam oczy stawał przed nimi Dawid.

Siedziałam na drewnianej ławce na szkolnym boisku i opierając podbródek na splecionych dłoniach obserwowałam parkę kręcącą się w pobliżu. Od pewnego czasu byli nierozłączni. Oboje, którzy znaczyli dla mnie tak wiele i którzy dzięki mnie się poznali nagle zapomnieli o moim istnieniu. Poczułam, że ktoś dosiadł się obok i w myślach próbowałam go odgonić. Nie miałam ochoty na żadne rozmowy.
- Sama jesteś sobie winna – usłyszałam słodki, dziewczęcy głos. Od razu go rozpoznałam.
- Nic ci do tego – powiedziałam nie patrząc w jej stronę.
Roześmiała się. – Masz rację – rzekła wstając i podchodząc do mnie – ale spójrz na nich. Które bardziej chciałabyś ukatrupić, hm? Jego? Zobacz jak na nią patrzy, aż robi mi się niedobrze. Te głębokie spojrzenia w oczy… Ależ nie! – Ponownie wybuchła śmiechem. – Ty chcesz, żeby to ona zginęła. Mogłabyś wtedy zająć jej miejsce.
- Zamknij się! – Wybuchłam wstając, a kilka osób spojrzało w naszą stronę.
Weronika roześmiała się jeszcze bardziej i odeszła bawiąc się długimi blond włosami.
Zabrzmiał zbawienny dzwonek, a ja szybkim krokiem popędziłam do klasy tłumiąc łzy i złość.
Maja podeszła do mnie z zatroskaną miną. – Co jest? – Spytała.
Ufałam jej. W tamtej chwili chciałam już powiedzieć jej o wszystkim. Wścibska i wszechwiedząca plotkara rozstroiła mnie wewnętrznie. Byłam bliska łez, a żal, jaki w sobie tłumiłam wzbierał coraz bardziej.
- Maja… - zaczęłam, gdy za nią pojawił się Dawid. Przy nim nie mogłam już nic powiedzieć.
- Co jest? – powtórzył pytanie.
- Weronika – powiedziałam porozumiewawczo i zmusiłam się do lekkiego uśmiechu.
- Co ci powiedziała? – Spytała Majka.
- Nic takiego.
- Pogadam z nią – zaproponowała.
- Nie trzeba. Nie ma co się przejmować.
Spojrzałam na Dawida, który uśmiechał się teraz promiennie, jakby te słowa wymazały całą wcześniejszą sytuację z jego pamięci. Majka przytuliła mnie po przyjacielsku i oboje odeszli, by usiąść razem w ławce na biologii. Wtedy po raz ostatni ją widziałam. Wciąż miałam w pamięci tę zatroskaną minę.

Pani Orłowska wpadła do naszego domu jak burza. Serce na moment mi stanęło, gdy zobaczyłam wyraz jej twarzy, na której malował się żal i lęk. Wiedziałam, że chodzi o Dawida. Spojrzałam w szare, smutne oczy matki, w których pojawiły się łzy. Spodziewałam się wybuchu, złych wieści, oskarżycielskiego tonu. Zamiast tego zostałam przytulona. Objęłam panią Marzenę i poczułam jak trzęsie się od płaczu.
- Dziękuję – szepnęła mi w ucho i przebiegł mnie dreszcz – dziękuję, że byłaś z nim do końca.
Zamarłam.
- Proszę pani… - zaczęłam i słowa utknęły mi w gardle.
Odpowiedział mi jeszcze gwałtowniejszy szloch.
Jeszcze tego samego dnia siedziałam w samochodzie z rodzicami Dawida. Kuba siedział koło mnie wpatrzony w szybę. Pani Marzena wciąż płakała wyrzucając z siebie cały żal.
- Mogłam wcześniej zabrać tam Kubę. Opuściłam własnego syna.
- Przestań – odpowiedział jej mąż – mówisz jakby on umarł. Wyjdzie z tego.
- Wyjdzie? To dlaczego jest w tym szpitalu już rok i nie ma żadnej poprawy?!
- Uspokój się, bo zaraz zawrócimy.
Nie miałoby to większego sensu, gdyż właśnie podjeżdżaliśmy na szpitalny parking. Zapadła cisza. Wysiadłam powoli z wozu i również bez słowa poszłam za rodzicami Dawida. Pierwszy raz od roku poczułam, że tam nie pasuję. Szłam najwolniej jak mogłam, ale mimo to nie zostawałam w tyle. Najwyraźniej oni robili to samo.

Wewnątrz było jak zawsze. Sztuczny blask jarzeniówek oświetlał sterylny korytarz. Aleksandra o pełnych ustach i brązowych oczach siedziała za kontuarem i zbierała wpisy odwiedzających. Oczyma bez wyrazu spoglądała w nasze twarze i bezbarwnym głosem wypowiadała mechaniczne zdania. Pani Popławska stała za ladą bufetu i obsługiwała klientów o szarych twarzach i przeźroczystych spojrzeniach. Mijałam znajome korytarze, które pomimo tego czasu zachowały obcość i dzikość. Lekarze obchodzili sale wtapiając oczy w karty pacjentów i starając się nie nawiązywać żadnych zbędnych kontaktów. Pielęgniarki szły posuwistym krokiem niosąc tace z lekami lub stosy prześcieradeł, a przed każdym pokojem przypinały na twarz pełen troski uśmiech. Wpatrywałam się w ten żałosny obrazek bez cienia smutku. Przywykłam już do niego.
- Panie doktorze – usłyszałam głos pani Marzeny.
Podniosłam wzrok i zobaczyłam podążającego w naszą stronę lekarza.
- Państwo Orłowscy? Zapraszam do siebie.
Otworzył drzwi swojego gabinetu i nakazał gestem, abyśmy weszli.
- Dzieci? – spytał niepewnie.
- W porządku – powiedziała pani Marzena.
Wewnątrz pokój doktora Adamskiego, jak przeczytałam na drzwiach, nie różnił się znacznie od wystroju całego szpitala. Dominowała w nim biel i niesympatyczny, szpitalny zimny odcień niebieskiego. Na ścianach wisiały dyplomy w anty-ramach, a na biurku leżały tylko jakieś papiery.
- Proszę państwa, syn miał coś w rodzaju ataku – mówił lekarz – w pewnym momencie zaczął krzyczeć pewne imię. Nic nam nie mówiło, ale może państwo coś wiedzą. Mówił o Gabrielu.
- Nie znamy żadnego Gabriela – powiedziała pani Marzena – może to jakiś kolega ze szkoły, albo koleżanka. Może chodziło o Gabrielę?
- Gabriel to anioł – powiedziałam cicho. Wszyscy spojrzeli w moją stronę.
- Jaki anioł?
- Archanioł chyba. Anioł Stróż. Dawid mówił mi o nim.
- Co ci mówił? Musisz wszystko opowiedzieć! – Pani Orłowska chwyciła mnie za ramiona. – Co ci mówił?
- Spokojnie – powiedział doktor Adamski.
Pan Orłowski uspokoił żonę, ale wszyscy wciąż wiercili mnie spojrzeniami.
- Wczoraj, kiedy byłam u Dawida opowiadał mi o aniołach, które go odwiedzają. Powiedział, że Gabriel go kocha. Nic więcej.
Utkwione we mnie oczy otworzyły się jeszcze szerzej.
- To chyba nic ważnego – powiedziałam.
- Przeciwnie – doktor Adamski podszedł bliżej i pochylił się nade mną. Dopiero wtedy zauważyłam, że jego niebieskie oczy są łagodne i przyjazne. – Wszystkie informacje są ważne.
Odpowiadałam na dziesiątki pytań zanim dano mi spokój i stwierdzono, że nie ma żadnego Gabriela. Czy trzeba być mną, by pamiętać, że zaburzeniom psychicznym towarzyszą halucynacje? Doktor Adamski uważał, że to są częściej omamy słuchowe. Tymczasem ja, u której nie zdiagnozowano żadnej choroby, choć pragnęłam tego z całego serca, słyszałam czasami rzeczy, których nie było. To nie wszystko. Przecież ja widziałam to czego nie było, więc jak mogłam wątpić w to, że inni, autentycznie chorzy mogą mieć podobnie? Korciło mnie, by zagrać wariatkę i upierać się przy tym, że widziałam Gabriela, po to tylko, by i mnie zamknęli w pustym pokoju z zakratowanym oknem. Powstrzymałam się jednak.
- Czy mogę go zobaczyć? – spytałam lekarza.
- Niestety to niemożliwe – odparł poważniejąc – jest w izolatce.
Spojrzałam na panią Marzenę.
- Nie powiedzieliśmy ci dziecko. Dawid zrobił sobie krzywdę.
- Co zrobił? – spytałam.
- Pielęgniarka zostawiła w jego pokoju szklankę z wodą – powiedział lekarz – rozbił ją i przeciął sobie tętnice w nadgarstkach i pod kolanami.
- Chciał się zabić?
- Prawie mu się udało. Gdybyśmy znaleźli go pięć minut później prawdopodobnie by nie przeżył.
- Panie doktorze, a my kiedy będziemy mogli go zobaczyć? – odezwał się niespodziewanie pan Orłowski.
- Obawiam się, że nie dzisiaj – odparł lekarz wycierając okulary – przepraszam państwa, za chwilę mam obchód. Porozmawiamy później.
Po wyjściu z gabinetu rodzice Dawida wszczęli na nowo swoją dyskusję podjętą w samochodzie. Oddaliłam się niepostrzeżenie odwracając na zakręcie i zerkając przez ramię. Widziałam, że Kuba usiadł na krześle i zaczął bawić się komórką. Pomyślałam o tym, by wziąć go ze sobą, ale jeszcze nie do końca wiedziałam co planuję. Zniknęłam za rogiem i pospieszyłam znaną mi drogą.
Zakradłam się pod pokój Dawida. Korytarz był pusty, ale gdzieś w oddali słyszałam kroki. Nacisnęłam na klamkę. Choć

miałam nadzieję, że drzwi są otwarte, zaskoczył mnie ten fakt. W ostatniej chwili wślizgnęłam się do środka i zaczęłam poszukiwania. Pamiętałam dokładnie czarny zeszyt, który przyniosłam Dawidowi ponad rok temu. W pomieszczeniu było niewiele sprzętów. Zajrzałam pod łóżko i pod materac, do szafy i sprawdziłam deski w podłodze. Niczego nie znalazłam. Rozejrzałam się po pokoju. Nie przychodziły mi już do głowy żadne inne kryjówki. Od tamtego czasu nie bywał w domu, nie mógł więc ukryć go tam. Usiadłam na podłodze czując bezsilność. Wszechobecna szarość potęgowała moje uczucie przygnębienia. Wpatrywałam się w wycięty w białym tynku symbol. Wydawało mi się, że już wcześniej gdzieś go widziałam, ale nie miałam pojęcia gdzie. Przypominał mi krzyż, a raczej kilka splecionych krzyży. Powoli się odwróciłam. Symbol znajdował się dokładnie naprzeciwko okna, na którego szybie było ich tyle, że niemal nachodziły na siebie.
Wstałam i podeszłam bliżej. W ramie nie było klamek. Przebadałam dokładnie każdą szczelinę i w końcu spod szerokiego parapetu wyciągnęłam dziennik. Przez dłuższą chwilę trzymałam go w rękach i wpatrywałam się jak zahipnotyzowana. Oprzytomniałam, gdy ponownie usłyszałam jakieś głosy na korytarzu. Wsunęłam zeszyt pod bluzkę i podkradłam się do drzwi. Wstrzymałam oddech nadsłuchując. Kroki umilkły niespodziewanie, a moje serce stanęło. Stałam jak sparaliżowana wiedząc, że za chwilę zostanę nakryta. Ludzie po drugiej stronie drzwi odeszli jednak dalej nieświadomi mojej obecności. Odczekawszy jeszcze chwilę wymknęłam się na pusty korytarz i oddaliłam w bezpieczną odległość. Przez myśl przebiegł mi plan dotarcia do izolatek, nie wiedziałam jednak ani gdzie się znajdują, ani po co miałabym tam iść. Siła przyciągania, która pchała mnie w tą bezsensowną operacje nie słabła od początku, ale tym razem udało mi się ją przezwyciężyć. Podeszłam do okna na klatce schodowej, by sprawdzić, czy samochód państwa Orłowskich wciąż stoi na parkingu. Odnalezienie granatowego volkswagena zajęło mi dobrą minutę, ale odetchnęłam z ulgą widząc puste miejsce kierowcy.
Zeszłam na dół i starając się nie rzucać w oczy dotarłam do bufetu.
- Dzień dobry – powiedziałam do pani Popławskiej zajętej wycieraniem szklanek.
- Dzień dobry – odrzekła zanim podniosła wzrok. Spróbowałam się uśmiechnąć.
- Kasia, dziecko co ty tutaj robisz? – spytała spojrzawszy w końcu na mnie.
- Jestem z rodzicami Dawida – powiedziałam – widziała ich pani.
- Nie, chyba nie… – zastanowiła się – w bufecie dziś mały ruch, raczej bym zapamiętała.
- Dziękuję pani bardzo. Poproszę szarlotkę.
Pani Popławska spojrzała na mnie podejrzliwie. Zdobycie dziennika Dawida podziałało na mnie jak narkotyk. Musiałam chyba bardzo zwracać na siebie uwagę.
- Dobrze się czujesz, dziecko – usłyszałam pytanie. Zaniepokoiło mnie. Czy uśmiech w takim miejscu nie zwiastuje nic dobrego?
- Tak, tak dobrze – odparłam poważniejąc.
Tym razem to ona się uśmiechnęła i podała mi talerzyk z ciastem. – Smacznego.
Ledwie zdążyłam zatopić w nim łyżeczkę, kątem oka dostrzegłam państwa Orłowskich.
- Tu jesteś. Wszędzie cię szukamy.
Rzuciłam pani Popławskiej porozumiewawcze spojrzenie.
- Była tu cały czas – powiedziała. – No, Kasiu, dosyć tych pogaduszek, czas wracać do pracy.
Odwróciłam się od lady. – Czy już wracamy? Nie chcę państwo czegoś zamówić?
- Nie, Kochanie, dojedz i chyba pojedziemy. Niczego więcej nie uda nam się chyba dowiedzieć – powiedziała pani Marzena. Po jej spokojnym i słabym głosie poznałam, ze jest pod wpływem środków uspokajających.
Wróciliśmy bardzo szybko. Podróż przebiegła w cichej, wręcz sennej atmosferze. Sześciolatek siedzący po mojej lewej spał, podobnie jak pani Orłowska. By uniknąć rozmowy z ojcem Dawida udałam, że także dopadł mnie Morfeusz.
Po dotarciu do domu postanowiłam wyjść na spacer. Zaprzestałam samotnego chodzenia na dziką plażę. Dziś wyjątkowo udałam się do parku. Była niedziela. O tej porze roku i dnia roiło się tam od rodzin z dziećmi i opalających się na zielonej trawie dziewczyn z mojej szkoły. W pewnym momencie zauważyłam taka grupkę i skryłam się za drzewem. Obserwowałam je przez chwilę, po czym wyszłam stawiając się w zasięgu ich wzroku.
Wysoka, szczupła dziewczyna o długich, jasnych włosach i śnieżnobiałym uśmiechu spojrzała w moją stronę i spoważniała. Podczas, gdy jej koleżanki dalej rozmawiały o czymś z ożywianiem, ona wbiła wzrok w ziemię i zaczęła grzebać w niej suchym patykiem. Obserwowałam ją uparcie powtarzając w myślach "no podejdź tu, spójrz na mnie". Po chwili podniosła głowę i popatrzała mi prosto w oczy. Odrzuciła patyk i energicznie wstała, a jej koleżanki nagle przerwały rozmowę.
- Czego chcesz? - spytała ostro, gdy znalazła się w odległości około dwóch metrów ode mnie.
- Wiesz czego - odparłam spokojnie. Weronika parsknęła z pogardą i spojrzała w górę oblizując pełne usta.
- Chodzi ci o Dawida? - spytała patrząc znowu na mnie. - Posłuchaj. Nie mam i NIE MIAŁAM z nim nic wspólnego. - Ostatnie słowa wymówiła z naciskiem parząc mi prosto w oczy swoimi błękitno-niebieskimi tęczówkami. - A teraz - dodała - nie zawracaj mi głowy jeśli byś mogła. Pa.
Odwróciła i odeszła w stronę ławki zalotnie kołysząc biodrami w obcisłych szortach. Jej koleżanki, które przedtem z zaciekawieniem przyglądały się całej scenie rozpromieniły się ponownie i rzucały w jej stronę pytające spojrzenia.
- NIC wspólnego, tak?! - Krzyknęłam, gdy dziewczyna była już prawie u kresu swej drogi. nawet nie odwracając głowy pod-

niosła rękę i pomachała mi na pożegnanie.
- Chciałam tylko powiedzieć, że ci się udało.
Weronika zatrzymała się i odwróciła z poważnym wyrazem twarzy. – Co mi się udało? – spytała.
- Zabiłaś ich oboje. – wypowiedziawszy te słowa odwróciłam się, by ukryć tryumfalny uśmiech.
Lato dobiegało końca. Dni stawały się coraz krótsze, a wieczorami powietrze pachniało jesienią. Zabrałam ze sobą aparat by zrobić kilka zdjęć w drodze do domu. Zachód słońca był tego dnia wyjątkowo piękny. Niebo mieniło się różnymi odcieniami różu, pomarańczy i złota, a świecąca słabo tarcza była już w połowie zanurzona w wodach jeziora. Powoli podeszłam do barierki pokrytej niebieską, wyblakłą i złuszczającą się farbą i wyjęłam aparat. Było spokojnie i cicho. Wzięłam głęboki wdech i poczułam jak delikatny wiatr łaskocze mi twarz. Opuściłam rękę i spojrzałam na niebo. Żadne zdjęcie nie odda tego piękna. Stałam tak przez chwilę patrząc, aż kolory znikły z nieba, a świat wokół zaczął szarzeć.
- Spójrz, Dawidzie – powiedziałam – lato także jest piękne. Czy nie chciałbyś zakochać się latem?

Samuel Serwata

Pierniczki i ciasteczka



„Przed użyciem zapoznaj się z treścią ulotki dołączonej do opakowania, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą."

Pewnego razu wdepnąłem do podziemnego sklepiku z pieczywem, chcąc jakoś bardziej sensownie wydać ciężko zarobione pieniądze. A najlepiej je przeżreć, bo coś jeść trzeba. I niekoniecznie musiało być to jakieś cholernie drogie żarcie z wykwintnych, renomowanych restauracji. Sklepik, do którego zawędrowałem, mieścił się między dwoma klatkami schodowymi w starej kamieniczce, wzniesionej z ciemno brązowej cegły. Wnętrze było dość mało komfortowe. Całe wyłożone drewnianymi, jasnymi listwami, przesiąkniętymi wilgocią z gorącego pieczywa. Stanąłem przy szklanej półce, za którą stały wiktuały, zastanawiając się, które z nich zakupić. Obok mnie stała kasa, czyli taki stolik gdzie się najprawdopodobniej płaci. Za jedną stroną, stała sprzedawczyni, z opadniętymi policzkami, bezbarwnymi włosami, zezującym lewym okiem oraz z uśmiechem pozbawionym jakiegokolwiek sensu. A po drugiej stronie rzeczywistości kupieckiej mała dziewczynka, w wieku gdzieś tak z sześć latek.
Sprzedawczyni paliła papierosa, który wyglądał jak pet z chodnika. Jej palce były tak zdewastowane, że myślałem, że…a zresztą. Paznokcie miała długie, pożółkłe, za nimi czarny syf i łuszcząca się skóra na ich brzegach.
Natomiast mała była naprawdę zdenerwowana, w sumie jakbym miał tyle lat, też bym się bał iść robić zakupy u takiej starej jędzy, która wygląda jak jakaś zakręcona fanka ludzkiego mięsa, wiedźma czy inna cholera. Ale poczułem, że to nie tylko zdenerwowanie, ale stres zmieszany ze strachem, tworzące mieszankę wybuchową, zwaną dziecięcą histerią.
Kobieta – sprzedawczyni, czekała, z niecierpliwością mnicha tybetańskiego, aż mała złoży zamówienie. Próbowała wydusić z siebie wyuczone na pamięć zakupy, niczym zdrowaśkę. Kobieta w przestworza nad sobą wydmuchała potężny kłąb dymu. Kurde, gdzie ona to trzymała? W kieszeni? W płucach? W tych obwisłych starych cyckach? Sprzedawczyni wykrzyczała słowa jakby były jakąś inkantacją, albo przez lata trzymaną urazą.
- Długo do cholery jasnej będziesz tak stała i się gapiła? Kupujesz coś w końcu czy czekasz na nadejście wiosny?! Jak nie to zmiataj stąd!
O kurczę. Oderwałem wzrok od zaszklonych delicji. Mała była o krok od płaczu, nawet zrobiło mi się jej żal. Z całych sił wydusiła z siebie słowa:
- Poproszę dwa bochenki chleba zwykłego, i cztery bułki.
- Wreszcie do cholery wielkanocnej. Takie trudne? straszne? postmodernistyczne?
Babsko odłożyło peta na stół i chwyciła tą samą ręką bochenki chleba, z zawziętością i
chytrością jakby miała w ręku jakiś kawał gliny. Z celnością godną strzelca podrzuciła je oba na ladę. Z innej półki wzięła cztery bułki i wycelował w stojące na stole, chlebki. Wyglądało to tak jakby celowała nimi w małą. Mimo wszystko lądowały przed nią. Podeszła do lady, wzięła gasnącego peta do ust i zaciągnęła się nim tak mocno, że rozjarzył się on promieniem tak jasnym jakby było palone w piecu. Dziewczynka wyciągnęła z kieszonki garść wyliczonych monet, i położyła je, na ladę. Sprzedawczyni wytrzeszczył swojego zeza jakby pierwszy raz w życiu widziała pieniądze.
- Co to do licha ma być?
- Co?
- Nie mów do mnie tym tonem! Mówi się proszę, a nie, co. Co? A jajco! Ty niewychowana smarkulo. Co to maja być za jakieś gówniane klepaki, myślisz, że ja robię oszczędności i
wkładam pieniądze do skarbonki?
- Mama mi takie dała, więc płacę takimi.
- Twoja mama to jeszcze większe nieporozumienie niż ty.
- Przecież jej pani nie zna!
- Ludzi poznaje się po ich zachowaniu i stosunku do otaczającej ich rzeczywistości. Teraz ja te drobniaki muszę zanieść do banku i wymienić na jakąś bardziej konstruktywną walutę, którą da się nosić w portfelu. Myślisz, że taka wymiana nie kosztuje?
Jak na taką tępe krówsko miała niesamowita podzielność uwagi, skoro umiała gadać i pakować buły i chleby jednocześnie.
- Dobra zabieraj się stąd, niech cię więcej dzisiaj nie oglądam, nie jesteś jedynym klientem. – Chwila zadumy, dymek z nosa z cygaretki. Obserwacja, a raczej wzrokowy monitoring zachowania i czynu sześciolatki.
- Dziękujemy. Jak zeżrecie to wpadnijcie znów. Szczerze polecamy się na przyszłość.
Tak, z tej rady na pewno skorzysta jeszcze niejednokrotnie.
Dziewczynka, próbowała, czym prędzej wyjść ze sklepu tłumiąc w sobie płacz. Stojąc już przy wylocie do realnego świata, natrafiła na znaczący opór uniemożliwiający jej ucieczkę do świata złudnego szczęścia. Problem ten to chwycenie za klamkę. Stała dłuższą chwilę próbując, choć opuszkiem palców dotknąć zimnego metalu, i pociągnąć go do dołu. Stawała na palcach, jak najwyżej tylko potrafiła. Mała była między granicą histerii, a załamania nerwowego. Tymczasem sprzedawczyni, mająca ubaw, wyszczerzyła asymetryczne, pożółkłe zęby i postanowiła jeszcze bardziej urozmaicić sobie zabawę.
- Wyjdziesz stąd w końcu? Ten sklep jest wystarczająco mały by pomieścić w nim tyle niepotrzebnych osób.

Te słowa dobiły mnie już całkowicie, jeśli powiedziała „tyle" to zapewne oznaczało, że to także aluzja skierowana do mnie, klienta grzecznie czekającego w kolejce na swoją kolej.
- Ta mała nie może dosięgnąć klamki, jest za niska, może by tak pani ruszyła tłuste dupsko i jej spróbowała pomóc, to tylko dziecko. No chyba pani kompetencje się na tym kończą, i nie wie pani jak ten wielce skomplikowany wynalazek działa.
- Czego się wtrącasz ćwoku?
I w tym miejscu moje poczucie humoru i cierpliwość siadło. Podbiegłem do małej i
nacisnąłem klamkę. Wybiegła schodkami na ulicę i pomknęła w prawą stronę. Zamknąłem je z poczuciem, że zrobiłem krok by dalej uważać się za człowieka. Idąc w stronę lady wyjmowałem portfel. Sprzedawczyni z niemym niezadowoleniem. Odburknęła.
- Dobra, co mam łaskawie podać?
- Proszę trzydzieści deko tych małych pierniczków w kształcie serduszek i kilkanaście
ciasteczek, tych, co to tak wspaniale jest nad nimi wykaligrafowana cena 7, 99 zł. – Kończąc składać zamówienie stuknąłem palcami w szybkę, by przypieczętować moją decyzję, w
ramach wątłej próby pomyłki.
- W czoło się pan lepiej puknij jełopie.
- Sama się puknij, pakuj te delicje i nie przekomarzaj się ze mną. Wkurzanie klientów jest
ostatnią rzeczą, na jaką powinna sobie pozwolić taka szanowana piekarnia jak ta.
- To groźba ty ćwoku?
- Ostrzeżenie lub upomnienie. Perswazja ustna. Ironiczna aluzja. Prawniczy żargon wykonany w sposób pokazowy albo…
- 4,80.
Przerwałem swój wywód i otworzyłem mój burżujski portfel i wyciągnąłem z niego banknot o 50 zł i rzuciłem nim na ladę z zadowoleniem człowieka szpanującego gotówką, co w tym przypadku nie wydało mi się takie głupie. Palec wskazujący kobiety wystrzelił jak z wyrzutni rakietowej wycelowany w cel zwany „banknot o nominale 50 zł".
- Co to jest?
- To jest według moich skromnych wiadomości, wiedzy i danych statystycznych całego państwa sporządzonych w bieżącym roku, , że jest to nic innego jak pieniądz. Cholerny banknot 50 zł.
Jest wiele sposobów, aby nie stracić cierpliwości, fakt wkurzyć mnie można jak każdego innego człowieka, ludzi różni od siebie to, z jaką mocą i w jaki sposób natężenia, odreagowują na otaczające ich… otoczenie. Ja próbowałem nerwy zamienić w żart.
- Myślisz ćwoku, że o szóstej rano będę miała wydać z pięćdziesiątki?
- Szczerze? Hmm… Tak. Tak właśnie myślę, skoro fukałaś się na małą, że przyniosła ci klepaki i nie chciałaś ich przyjąć, oznacza to, że twoja kasa jest nimi przepełniona. Chcąc nie powtarzać jej błędu, wyciągnąłem coś grubszego, z czego pani będzie zadowolona. - I tak na marginesie nie nazywaj mnie ćwokiem dobrze? Ty stara zezowata zdziro, bo inaczej dostaniesz zaraz po tej swojej krzywej mordzie.
Chwyciłem mój ukochany banknocik i schowałem w portfelu, skoro nie może zagrzać w ciepłej kasie złej sprzedawczyni. Skrzywiłem wargi na znak, że szukam wyliczonej kwoty, i wyciągnąłem jak najgrubsze możliwe monetami. Wysypałem na stół wyliczone pieniądze, uznając, że wreszcie zakończyłem pomyślnie tą transakcję.
Z zawodu jestem bankierem, w moim obozowisku pracy, przez moje ręce przelewały się nieraz ogromne ilości pieniędzy, zwykle należące do jednej tylko osoby. Zazwyczaj jednak nie było problemów, nikt się nie skarżył, było pięknie, spokojnie. Zawsze natomiast jest problem z jednym gatunkiem ludzi, starych pierdzieli, którzy myślą, że jak wybierają z banku renty lub emerytury, (czyli jakieś sześć stów), to złapali pana boga za nogi. W dodatku obwiniają mnie za to, że tak mało dostają, obrzucają mnie wyzwiskami, które czasami sam nie wiedziałem, że takie istnieją, opluwając mi klawiaturę swoją zatęchłą, starczą śliną. Poza tym blokują kolejkę, tworzą manifestację, wywołują wojny, tworzą zgromadzenia ludowe, sekty, obozy pracy, kluby anonimowych alkoholików, zapychają domy starców, blokują przejście dla pieszych, apteki, delikatesy, miejsca w autobusie, bo na pociągi ich nie stać, albo w nich bełtają itd. Żeby nie zagłębiać się w społeczny ustrój, nie ignorować niższych klas społecznych, nie być rasistą, być tolerancyjny, chodzić do kościoła w niedzielę, na spotkania towarzyskie, nie tylko te w nocnych klubach. A teraz jeszcze muszę użerać się z potworem żywcem wyjętym z badziewnego filmu grozy z pięćdziesiątych. Nie wiem, może w tamtych czasach wydawało się to straszne, co nie znaczy, że dzisiaj nie jest. Ale dziś ma trochę inny wydźwięk, nie wiem potwór z bagien wydaje mi się o wiele bardziej sympatyczny od tego czegoś za ladą. Bóg, choćby był miłosierny, dobry, sprawiedliwy, (co z tego, że w dużej mierze jemu zawdzięczamy apokalipsę, nie istnieje. Inaczej nie spotkałoby mnie coś takiego.
Gdy już myślałem, jak już wspomniałem, że transakcja dobiegła końca…
- No teraz jeszcze lepiej, zabieraj się pan stąd ze swoimi śmierdzącymi pieniędzmi.
- Ma pani obowiązek mnie obsłużyć. Jak dałem grube to pani nie odpowiadało, a jak drobnymi to jeszcze gorzej. Chcę te cholerne pierniczki i ciasteczka i radzę Ci ty głupia suko zapakuj je zanim zrobię się niemiły.
- Jak Ci się nie podoba to tu nie kupuj.

- Właśnie obraziłaś klienta, teraz osobiście skontaktuje się z pani szefuniem.
- A spróbuj ty kmiocie.
- Pakuj to ty tępa, stara, ruro albo naprawdę się pogniewamy.
Po dłuższej chwili odebranej przeze mnie jako objaw jej myślenia, wsadziła grubą rękę do szklanej przegródki z pierniczkami i po chwyceniu jak największej ilości, zacisnęła pięść i jak najsilniej tylko mogła ścisnęła je. Z rozgniecionych pierników po jej ręce spływał dżem, oblepiając jej palce. Spod lady wyciągnęła brązową torebkę, do której naładowała zbita bezkształtną masę. Jeszcze ciasteczka. Chwyciła tą samą ręką ciastka, zgniotła je w palcach i wsadziła do tej samej papierowej torby. Zawinęła, żeby przypadkiem nie wypadły, zgniotła,
wytarła w nią ręce i postawiała torbę przede mną z uśmiechem, którego nie potrafiłem
rozszyfrować. Nie wiem czy oznaczał zwycięstwo końca pracy, szczytu jej obrzydliwości, czy cokolwiek innego. Postanowiłem interweniować, a jednocześnie dobić, wkurzyć i przestraszyć.
- Nie zapłacę za to.- Rzekłem spokojnym tonem człowieka mieszającego kakao.
- A to, czemu?- Odkrzyknęła z furią w głosie kobiety znęcającej się nad kotem.
- Proszę o telefon, już! Jest pani ostatnią osobą, która będzie mnie tak ostro wkurwiać. Dawaj telefon, i numer do swojego szefa. Jej usta opadły jakby zaraz miały spłynąć z jej twarzy. Popatrzyła na mnie i sięgnęła po aparat telefoniczny spod lady. Wyciągnęła go, podniosła słuchawkę i wykręciła numer.
- Halo? Dzień dobry, jest szef? Tak? To dawaj go!
Teraz tylko ta chwila wkurzającego czekania, ociągania się tych po drugiej stronie.
- Cześć Kochanie, jesteś na górze? To zejdź na dół, mam tu jednego niezadowolonego klienta, który zechciałby zamienić z Tobą parę słówek.
„Kochanie" kurka. Mężuś? Kto by chciał poślubić coś takiego, na jego miejscu zmieniłbym orientację seksualną. Odłożyła słuchawkę i cmoknęła głośno, jakby miała coś między zębami i chciała się tego natychmiast pozbyć.
Rozejrzałem się po wnętrzu pomieszczenia wokół mnie i kącie sklepu przy drzwiach
spostrzegłem obrotowy taboret. Wziąłem go i przystawiłem koło lady, i rzecz jasna usiadłem na nim. Zastanawiałem się ile będę czekał, ale nim zdążyłem o czymkolwiek pomyśleć, przez próg sklepu przeszedł wysoki mężczyzna, ze zniszczoną od papierosów mordzie, krótko ostrzyżony, ubrany jak wioskowy menel albo rolnik. Facet był modelem totalnej destrukcji człowieczeństwa. Podszedł w moją stronę i stojąc nade mną wskazał na mnie palcem zwracając się do swojej domniemanej żony.
- To ten niezadowolony klient?
- Tak Ed. Najpierw dał mi pięćdziesiątkę, z której nie mogłam wydać, a potem wysypał mi garść klepaków, której nie mogłam zliczyć.
Szanowny Ed spojrzał na mnie z miną jakby wdepnął właśnie w świeżo wypieczone gówno, a nie patrzył na człowieka.
- Więc chłopcze, w czym tkwi problem.
- Właściwie to było siedem monet, żeby być szczegółowym. – Chwyciłem torebkę z zbitą masą i podałem mu ją, przyjął ją jednocześnie gapiąc się na mnie, aż się dziwnie poczułem – Ja nie będę za coś takiego płacił, zamówiłem pierniczki i ciasteczka a nie nieforemną masę wyglądającą jak kawałek psiej kupy. Za pozwoleniem.
Ed otworzył torbę, i popatrzył do jej wnętrza z zadumą. Po niedługiej chwili skierował wzrok na mnie, a po chwili na współmałżonkę. Zebrał charknięciem flegmę prosto z zatok, niczym gejzer wycharkując ją do środka. Ślina ciągnęła się jak smoła. Zamknął, zawinął i podał mi.
- Teraz to ma nawet znak gwarancji, że to nasz produkt nieporównywalny z niczym innym.
Co się tak synku martwisz, przecież i tak to wysrasz w jednym kształcie i kolorze, a to jak wygląda… Żarcie powinno tylko dawać nam życie, nie kładziemy tego na półce między artystycznymi wazonami.
- Dla mnie liczą się względy estetyczne, jedzenie powinno ładnie wyglądać by rozbudzić apetyt, a nie obrzydzenia, myśląc jak wkładając do ust, że to kawał stolca.
Rolnik podumał nad czymś przed chwilę, po czym zwrócił się do swej małżonki.
- Kochanie zrób nam cappuccino, jeśli łaska. Napijesz się prawda?
Co jest grane? To jakaś gra? Co te gnojki kombinują?
Kobieta wyciągnęła z szafki za sobą dwie szklanki. Jedna była wypełniona jakąś wodą, wsadziła do niej dwa palce i wyciągnęła z niej starą, śmierdzącą, oblepioną brudem protezę. Wodę wylała do zlewu, odkręciła wodę w kranie, i przepłukała szklankę klika razy, ale mimo tego i tak była nieziemsko brudna. Postawiła ją na ladzie, wstawiła czajnik na zapleczu, i wzięła się za druga szklankę, która wyglądała jakby była w niej przechowywana ziemia, albo od początku jej istnienia była zalewana kawą, i nigdy nie umyta. Zdjęła z kaloryfera starą szmatę, koloru szarawo- czarnym, oblepionej jakimś syfem i zakrzepłymi plamkami krwi.
- Zaraz się zrzygam, chcecie żebym wykitował na jakąś salmonellę? Sam wypijesz swoją kawę, i sam zeżresz produkt własnego wyrobu!
- Słuchaj synku nie musisz tu kupować, jak ci nie smakują nasze wyroby.

- To był pierwszy i ostatni raz, jestem w radzie miasta, doprowadzę do zamknięcie tego
interesu.
Ed wyprostował się na krześle i schował ręce w spodnie dżinsowe na szelkach, takie, jakie noszą robotnicy na budowie. Pokręcił przecząco głową, i zastanawiał się nad czymś.
- Stella, daj mi strzelbę z szafki.
Przez plecy przebiegł mi dreszcz. Całe moje ciało zaczęło się pocić. Zastanawiałem się czy dobrze usłyszałem. Raptownie popatrzyłem na jego żonę, faktycznie wyciągała coś z szafki. Nachylili się nade mną i przekazali sobie z rąk do rąk strzelbę, tuż nad moją głową. Sprawdził
czy jest naładowana, oblizał wargi i powiedział.
- Tu jest tylko jeden nabój.
- Starczy ci na niego jeden.
- Pokaż naszemu niezadowolonemu panu listę klientów, których nie obsługujemy.
- Dobra.- Odwróciła się do nas plecami i coś pogrzebała do wystających z górnej sznurkach, poziomej, drewnianej półki, zwisającej pod sufitem. Odwróciłem się żeby zobaczyć, co się stanie. Pociągnęła za jeden i żaluzje zakrywające półkę odsunęły się do góry.
- Tak. Nie jeden dał nam się we znaki, było kilku naprawdę upierdliwych… Taka lista jakby pomyśleć jest prawie w każdym sklepie, gdzie klient spowodował niechęć obsługi.
Półka była wypełniona sześcioma odrąbanymi głowami, niezadowolonych klientów. Widać było jak nierównomiernie postępuje postęp gnilny. Głowy były ustawione w kolejności od najstarszego zabitego. Smród wypełnił cały sklep. Widać było rany kłute, nacięcia na ich twarzach. W niektórych wiły się robaki. Ed przemówił.
- Słuchaj stary ci tutaj byli naprawdę wrednymi gnojami, nie chcę cię dołączyć do nich. Sześć, to ładna liczba, taka symetryczna. Nie jesteś taki zły i głupi, możemy cię wypuścić, ale nie zrobisz nam koło pióra. Zgoda?
- Jeśli obsłużycie mnie jak normalnego klienta.
- Zgoda.
Kobieta ubrała foliowe rękawiczki i szpachelką nasypała do osobnych torebek pierniczki i ciasteczka. Zawinęła i wręczyła mi je.
- Dziękuję bardzo. I tak ma być zawsze. Z każdym klientem. – Udałem się w stronę drzwi usłyszałem za sobą przekleństwo i strzał.
- Schowaj mięso do lodówki. Będzie na nadzienie.

***

Samuel Serwata
Opowiadanie ze zbioru opowiadań pt: „Elastyczna Rzeczywistość" (2006)

exol

Nad ranem

Szósta rano
Jak zwykle tylko budzik blisko Ciebie
I nawet cień już nie chodzi po szybach
Bo znudził mu się kolor Twoich ścian
Patrzymy zbyt samotnie w puste okna
Nie czekając na żadne kształty i formy
Biernie przyglądamy się wschodzącemu słońcu
I nawet nie próbujemy mu pomóc
Nikogo nie obchodzi, że może zgasnąć, zniknąć
Przyzwyczailiśmy się do ciepła naszych oddechów i rąk
Zapominając o tym, iż każdy kij ma dwa końce
Nie wiedząc gdzie przesunął się nasz biegun zimna
Ukrywamy prawdę o samych sobie
Nie chcąc pokazać jej całemu światu
Powoli zamykamy drzwi, którymi przypływa do nas tlen
By na końcu udusić się z braku możliwości do życia
Gdy jeszcze jeden raz upadniesz i będziesz oczekiwać pomocy
Przybiegnie Twój przyjaciel
I gdy już będziesz wyciągał do niego rękę na ratunek
On opluje Cię, kopnie w mordę
I jeszcze raz. I jeszcze jeden raz...

exol

Żyjemy

Żyjemy

na co dzień, w pośpiechu, z mozołem
dźwigając swoje brzemię
do jednostajnego końca

Żyjemy

nie kończąc nie dopowiedzianych zdań
stawiając zbyt wiele wielokropków
i pospiesznych znaków zapytania

Nie żyjemy

tylko dla siebie, dla innych, dla całego świata
gdy kropelka wody upadnie nam na twarz
nie zmyje wszystkich krwawych ran
Toczymy słowa, myśli, dźwięki
słuchając jeszcze zbyt odmiennej muzyki
niż ta, która gra nam w sercach
i w przerwach między ciszą
Nie musimy być daleko by się porozumieć

Nie musisz patrzeć, abym czuł
Że pomimo różnicy czasu, miejsca i przestrzeni
My wciąż i wciąż

Żyjemy

Nie potrzebujemy wielkich słów
do codziennej jazdy po okręgu naszych istnień
Zadowalamy się zbyt wielkimi przerwami
Zapominając o dokończeniu zdania
Nie chcemy wielkich uczuć
Zostawiając po drodze za dużo spalonych mostów
Zbierając zbyt mało kamieni
Do budowy własnego życia
Egzystencja nie jest sensem,
Przypadkiem, szansą czy wrażeniem
Możemy żyć obok siebie
Ale nie widzieć się i nie słyszeć
Dostrzegać w sobie coś więcej
Niż oczy, usta, dłonie
Zajrzeć głębiej niż na to pozwalamy
By usłyszeć jeszcze jedno słowo
Zachować spokój i równowagę
Gdy na uboczu zostawiamy wszystko co mamy
Aby nie stracić tego,
Co jeszcze trzyma nas przy życiu

***

Nieśmiałym wzorkiem,
Witasz mnie
A ziemia nagle staje się ciekawsza od wszystkiego
Tylko jedno słowo
Nieśmiałe, ze spuszczonymi oczami
Ale szczere
Popatrz, o tam
Widzisz ich?
Dwoje ludzi tak blisko siebie
Ciałem, duszą i umysłem

A my?
Co mamy dla siebie?
Niewinne „przepraszam"
Za każde wypowiedziane słowo…

***

Karolina

But I've Still Got The Blues For You...

Srebrny strażniku północnego nieba,
bezsenny tułaczu, kawalerze niemy.
Sprawiedliwej oceny stanu mi trzeba,
czy urazy wezbrane w moim jestestwie,
przesiąkniętym posoką i jadem piórem -
jakby na wroga spisał klątwę z kalectwem -
nie ożyją w realiach, gdy się rozbestwię?
Wszak raptem do lubej skrobnąć mi należy,
sprawdzić, czy kocha, czy Jej na mnie zależy.
Czy jestem jeszcze w Jej myślach obecny?
I dlaczego nie? -- Potworniem bezecny!

Nie łypaj w ten sposób, na mą biedną personę,
już spieszę przedstawiać, co mam na obronę.

Najlepiej wiesz, o tym, że nie było nocy,
w której gnałem po Łodzi nie patrząc mocy
świateł w Jej oknach zasuniętych szczelnie,
świateł w Jej oczkach, później, na uczelni.
Najlepiej wiesz, o sprintach pod Jej parapety
oraz ciasteczku, na które zbrakł Jej apetyt...
Widziałeś, jak przez śnieżne płaty biegłem,
śnieżnych sześć kulek w szybę Jej siekłem,
w nagrodę dostałem skostniałe ręce,
a od Niej odpowiedź: "Byłam w łazience"
Wtórne trzy słowa, tym bardziej mnie bolą,
gdy wspomnę, iż zwałem Ją perłą... królową!
Skarbem...! Ona mej duszy pocieszeniem.
Klejnotem...! Ona mych oczu pragnieniem.
I tylko Ona.

Wszystkie inne poza Nią,
nie istniały w Jej pobliżu.
Mógłbym przysiąc choćby krwią,
to nie kwestia ciał w negliżu.
Mniejsza, o ich urodę,
nieważne usposobienie,
z każdą wnet się rozwiodę,
gdy serca Jej złowię brzmienie.
Im bliżej, dźwięk ten usłyszę,
tym wyżej, mnie on zabierze,
jak rzucon w górę kamyszek -
spotykam z impetem ziemię...
Ot, po prostu... zakochanie -
cud, którego doświadczanie,
raz dodaje animuszu,
raz dobija Mnie z przymusu.

Miłość buchła, nie posiadając źródła,
Stąd wyniosłem lekcję na całe życie:
Szczere uczucie nie chodzi na szczudłach -

ono czyha na wybranki przybycie...
Wtedy ją bada: ostrożnie, dokładnie,
Nie spłoszyć, to darmo! Dalej się garnie -
podchodzi lub pada, wszystko starannie,
już niemal! Tuż, tuż! Haruje ofiarnie!
O krok od przełomu, aktu nowego!

- Czemu nie ja Karolino...? Objaśnij...?
- Toż to piękne, nie ukrywajmy tego...
Jednak zbyt krótko się ze mną przyjaźnisz...
By po półroczu oznajmiać sympatię...?
Nie wziąłeś poprawki na mą apatię?
To trudne... ale ja myślę o Tobie!
i tęsknię... gdy sama zadania robię!
W mej pamięci, słów Twych został trwały ślad!
Nie zapomnę - ani jednej z Twoich wad...
Boś ich nie miał! A słowa Twe brzmiały tak:
"Pamiętaj, iż starczy tylko świadomość,
że masz swe miejsce w pamięci kogoś."
Zrozum proszę me uczucia niezmienne,
Ja także miłuję! Wielbię sumiennie!
lecz Ja nie Tobie pisana... - mój luby...
On, choć nie pisnął słowa od wieków
i zwiedza z innymi babami kluby,
Pewnam, że wróci...!
- Jak szlam do ścieków...
- ADRIAN!
- Słuchaj krewko, bo dłużej nie wysiedzę!
Żyjesz jałowo, mimo że masz wiedzę!
On ma Cię za nic, sam również jest nikim,
skąd nagle w Twym wzroku tyle paniki?
Prawda ubodła Cię, z moich usteczek?
Przygotuj zatem, pudełko chusteczek,
bom ledwo rozpoczął drogę krzyżową,
przez stacje Twych mąk, mą gadką wężową.
- PRECZ! WYŁAŹ! NATYCHMIAST! WYNOCHA!
- Ha ha, jak bosko! No szlochajże, szlochaj!
Albo zaczekaj! Dam Ci powód do płaczu!
Lecz wystarczy już o tamtym krętaczu...
Nadszedł czas na autentyczny tragizm!
Oraz gorzki, rozpaczliwy sadyzm!
Otrzyj łzy. Spójrz w me oczy. Prosto w oczy.
Dojrzysz jak w środku mi serce broczy?
Jak krew, uchodzi strugami większymi,
gdy kaleczę Ciebie... słowami mymi...
...muszę wyrzec skargi i oskarżenia!
Dawniej, naskórka Twojego muśnienia
zachętę i siłę by powróciło...
Urazy i rany by zasklepiło...
Tyś lekiem na nieznane symptomy -
remedium, przeze mnie wymarzonym!
Ja czułem... czułem! Jak nigdy dotąd,
że znalazłem... Jakim był idiotą!
Znalazłem... Swe miejsce we wszechświecie...
Przy boku Twym! Oh, anielskie dziecię...!
Jedno jedyne niedociągnięcie...

Lapsus, omyłka, wstępne potknięcie,
żem zapomniał o Nim na wskroś...
Argh! Jak to wzburza we mnie złość!
Ale... miałem się nie cofać,
do wspominek Jegomości...
Jednak jak mam się nie dąsać,
gdym do Ciebie prawo rościł!
Czymże On Cię tak skrępował?!
Spójrz jak podle Cię traktował!
Juźli pies ma większy honor!
To odbiega wszelkim normom!
Byle kundel jest wierniejszy!
A na pewno czcigodniejszy!
Lata świetlne jestem przed Nim!
Czyż nie jestem odpowiedni?!
Ja... Roiłem sny szczęśliwe...
Z Tobą... Ze mną... Ciut zbyt chciwe...
Razem sobie siedzieliśmy...
K'sobie się uśmiechaliśmy,
że na siebie trafiliśmy...
Czysta miłość... Afekt szczery...
Wspólnie przez pór roku cztery...
Razem przez tuzin miesięcy...
Oraz dni tysiąc tysięcy...
Oj, Karolciu... Karolinko...
Niezrównana Boginko...
Kwiecie elizejskich pól!
Szczycie Szczytów! Pani gór!
Nadzwyczajny Złotowłosie...!
O nieskazitelnym głosie...
Asfodelku... Złotogłowie...
Ile imion Twych nie powiem,
to i tak Cię nie przekonam,
żem w miłości k'Cię najpierwszy...
W samotności sam se skonam -
ten warijant jest najlepszy.
Bywaj! Niech Ci szczęście sprzyja.
Jeszcze jedno... - Tyś niczyja!

W tym momencie, pokój Jej opuściłem -
gwóźdź - wyraz, którym ciało Jej przebiłem...
Trzystoma gwoździami naszpikowana...!
Acz nadal... nadal... pali ma rana!
Winnym sam sobie, mych myśli szaleńczych...
To ona! - Ma psyche tak dziś mnie dręczy...!
Przypuszczać, iż wrogość wobec żywego
może dokonać cokolwiek dobrego...?!
Wstrętna psychiko! Naturo paskudna!
Skąd wyłoniła się myśl ta, tak zgubna?!
Zrywam łańcuchy....! Opuszczam więzienie...!
Wypruwam z mózgu zepsute korzenie!
Tyś zapomniała, kto tutaj zwierzchnikiem,
a kto wiodącym jest kierownikiem!
Ujawnij się wreszcie ego podstępne!
Przed Tobą także już nigdy nie klęknę!
Twe marne umizgi i przykre szepty,

chmurzyły mi twarz, jak zgryźliwy sceptyk.
Kres tolerancji - to koniec cierpienia.
Nadszedł należny mi czas wyzwolenia!
Oboje was musi opuścić mą duszę,
nim w poszukiwania ponownie wyruszę
serca ze złota, duszyczki cnotliwej,
kobiety ze snów, miłości prawdziwej! --

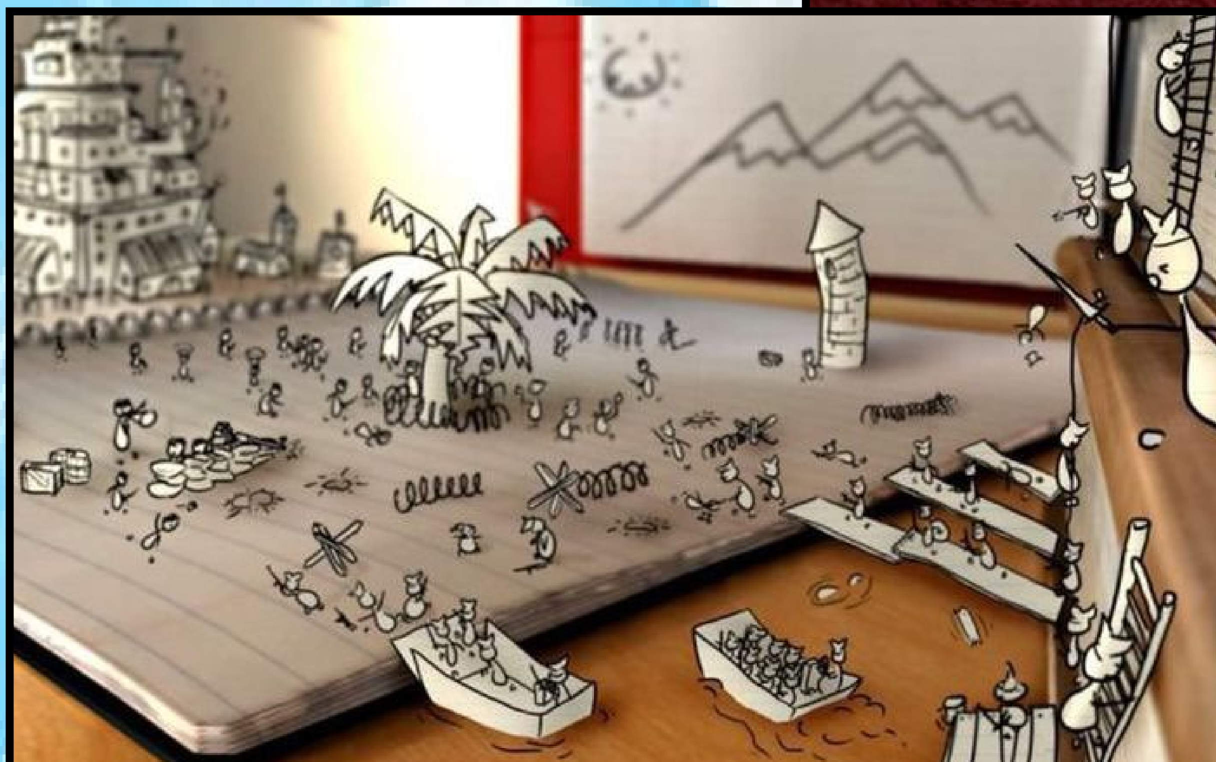
Co to za jęki?
Czyj głos tak miękki,
grzmotnął w ton agonii,
i łezki roni?
Wszystko wibruje,
interferuje,
z lamentu echem
i tym oddechem.
Księżyc zamarł w cień...?
KAROLINA!
Karolina...!
Pomrok tryska Zeń...
W miejsce lokum -
krzyż skrwawiony
leży sama -
zgięta w pół.
Jeden, drugi,
trzeci otwór...
Trzysta w sumie
ich na słupie.
- ...Co za ból...
- Żyjesz!
- ...Adrian...?
- Jak żem mógł...?!
- ...Dobrze... Żeś znów tu...
Wbij w me żebra... Zimny nóż...
Skończ tą farsę...! Skończ ją już...!
- ...
- PCHNIJ!
- ...

Księżyc orzekł triumf.
TRYUMF!
9.02.2012r. - 14.02.2012r. - Tony

Kolejny cytat: „- Azaliż onuce mu śmierdzą, Stanisławie. - Panie, ale ledwie miesiąc noszone, to nie cuchnie jak majtki Bernadety". Kto wie, skąd to, dostanie książkę z dedykacją.
McA










Google


POSEIDON






WILDROSE
WILDROSE.ca
WILDROSE
DANIELLE SMITH




SHOW HER THE REAL YOU
ALPHAGEAR
Seen around town

66